NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 15 września 1906 r. | Nr. 37.

Krwawe zajście w Rjece.

(Treść na stronie 3).



Treść numeru: Zlot Sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu. — Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu. — Życie uliczne w Warszawie. — Krzyżacka placówka w Poznaniu. — Na Sybir. — Zjazd urzędników Rad powiatowych we Lwowie. — Cesarz w Cieszynie. — Esperantyści w Krakowie. — Przed wyborami w Krakowie. — Nowy dyrektor gimnazyum polskiego w Cieszynie. —

Nowy dyrektor gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Gimnazyum polskie w Cieszynie, ta placówka polskości na kresach, pozyskało w tym roku no-



Nowy dyrektor gimnazyum polskiego w Cieszynie: Profesor Wiktor Schmidt, nowomianowany dyrektor gimn. polskiego w Cieszynie.

wego kierownika. Dotychczasowy kierownik, p. Józef Winkowski, zamianowany został — jak wiadomo — dyrektorem nowootwartego gimnazyum piątego w Krakowie. Miejsce jego obejmuje od 15 września dotychczasowy profesor gimnazyum Sobieskiego, Wiktor Schmidt.

Dyrektor Schmidt, którego fotografię zamieszczamy obok, jest z urodzenia Lwowianinem. Urodził się w roku 1867 we Lwowie i tam kończył gimnazyum i uniwersytet. Zawód nauczycielski rozpoczął w roku 1891 jako profesor filologii. Mianowany profesorem rzeczywistym, przeniesiony został w roku 1893 do Bochni, stamtąd zaś po kilku latach do gimnazyum III. w Krakowie, gdzie pracował aż dotąd. Jako pedagog odznacza się dyrektor Schmidt znakomitą rutyną, dobrocią i zrozumieniem młodzieży, dla której jest raczej przyjacielem i ojcem, aniżeli zwierzchnikiem.

Gimnazyum cieszyńskie, mające na sobie tak ważne dla polskości zadania, zyskuje w dyrektorze Schmidcie kierownika, którego osoba daje najlepszą rękojmię, że zaufania, jakie w nim położyła Rada szkolna, a z nią i całe społeczeństwo, nie zawiedzie, że zakład, jego pieczy powierzony, rozwijać się będzie coraz bardziej, przynosząc chlubę swemu kierownikowi, a pożytek społeczeństwu. Stanowisko dyrektora polskiego gimnazyum w Cieszynie jest bez kwestyi bardzo ważne i odpowiedzialne, wymaga dużo pracy i poświęcenia, jako że na ten zakład całe społeczeństwo polskie ma oczy zwrócone. Dobrze się więc stało, że Rada szkolna stanowisko to powierzyła dyrektorowi Schmidowi.

Przed wyborami w Krakowie.

Zgon śp. posła Rottera zostawił w demokratycznem stronnictwie naszego miasta wielką lukę. Śp. Rotter, jak to pisaliśmy dawniej w nekrologu tego zacnego a przedwcześnie zgasłego działacza społecznego, był nie tylko znakomitym mówcą, energicznym posłem i radnym, ale i duszą całego stronnictwa demokratycznego.

Miejsce jego zajął na razie poseł dr Petelenz, dyrektor I. szkoły realnej w Krakowie. Na jego barki zwaliła się cała odpowiedzialność i praca, którą dawniej dzielił się z śp. Rotterem. Dyrektor Petelenz nie zawiódł nadziei, jakie w nim pokładali wyborcy, wysyłając go do parlamentu, nie zawiódł zaufania, jakie w nim położyło stronnictwo demokratyczne. Brzemię, włożone mu na barki, przyjął, oddał się pracy ciałem i duszą i obecnie pracuje za dwóch, godnie spełniając trudne zadania, godnie kontynuując tradycye po śp. Rotterze. Dzisiaj filarem stronnictwa demokratycznego w Krakowie jest właśnie poseł Petelenz, którego portret zamieszczamy obok.

Podziwiać trzeba, zaiste, energię i dzielność znakomitego posła, gdy się zważy, że oprócz zadań poselskich na barkach jego ciąży jeszcze kierownictwo szkoły realnej. Jako dyrektor jest poseł Petelenz jedną z najbardziej wśród uczniów szanowanych i popularnych postaci. Znakomity społecznik jest w równym stopniu doskonałym pedagogiem.

W miejsce śp. Rottera na opróżniony mandat poselski byłby dyrektor Petelenz jedynym kandydatem, gdyby już nie był posłem. Stronnictwo demokratyczne jest więc w prawdziwym kłopocie, czyją wysunąć kandydaturę na tak zaszczytny mandat, jak mandat po śp. Rotterze. Do dziś dnia jeszcze nie zapadła w tej sprawie decyzya. Zdaje



Przed wyborami w Krakowie: Dr. Ignacy Petelenz, dyrektor I szkoły realnej i poseł do Rady państwa, filar stronnictwa demokratycznego w Krakowie.

się, że najwięcej szans ma znany demokrata dr Emil Bandrowski, profesor krakowskiej szkoły przemysłowej. Czy jednak stronnictwo demokratyczne wystąpi na pewne z jego kandydaturą, dziś jeszcze nie wiadomo. Poważnym również kandydatem byłby dyrektor gimnazyum Sobieskiego p. Tomasz Sołtysik, osobistość równie w Krakowie znana i popularna, trzecim zaś p. Michał Konopiński, redaktor „Nowej Reformy“.

Esperantyści w Krakowie.

Genialny filozof niemiecki Fryderyk Nietsche wypowiedział przed mniej więcej 30 laty w jednem ze swych dzieł następujące zdanie: „W dalekiej przyszłości istnieć będzie nowy język, początkowo jako handlowy, później jako język, służący ruchowi umysłowemu wogóle. Na cóżby bowiem innego przydało się studyowanie w ciągu całego stulecia prawideł języków przez językoznawstwo?“... Pisząc to, genialny myśliciel ani nie przeczuwał, że ta przyszłość jest tak niedaleką, że główne zasady tego języka będą już w niespełna dziesięć lat po napisaniu tych słów wypracowane.

W roku 1888 pojawił się projekt języka międzynarodowego, dokonany przez lekarza warszawskiego dra Zamenhofa, a ogłoszony pod pseudonimem dra Esperanto i stąd powszechnie zwany Esperantem. Kilka lat przedtem pojawił się był projekt szwajcarskiego pastora Schleyera, zwany Volapükiem. Volapük zyskał z początku znaczną liczbę zwolenników, ponieważ jednak nauczenie się go wymagało prawie tyle czasu, co nauczenie się jakiegokolwiek języka współczesnego, musiał upaść. Esperanto, dzięki swym zaletom, w ciągu lat kilku wyrugował go zupełnie, tak, że Volapük należy dzisiaj już tylko do historyi, w której odgrywa



Esperantyści w Krakowie: Grupa członków wydziału krakowskiego koła esperantystów.

rolę pierwszej poważniejszej próby stworzenia języka sztucznego. Dość powiedzieć, że Esperanta można się dobrze nauczyć w ciągu kilku dni. Gramatyka jego składa się z szesnastu reguł, w których niema wyjątku. Zaznaczyć trzeba, że jedynym celem Esperanta jest odegranie roli pośrednika między ludźmi rozmaitych narodowości, że niema on wcale zamiaru wyrugowania języków żyjących lub zastąpienia ich w życiu codziennem, jakby ktoś mógł myśleć.



Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu: F. Kretz, redaktor słowackich „Nowin“ w Węgierskim Hradyszczu i kierownik komitetu dla przyjęcia gości

Esperanto liczy dzisiaj na obu półkulach przeszło 100 000 zwolenników. I w Galicyi istnieje już kilka kółek esperantystów. W jednym z poprzednich numerów podaliśmy wydział koła esperantystów we Lwowie, dzisiaj zamieszczamy obok grupę członków wydziału koła esperantystów, zawiązanego niedawno w Krakowie i rozwijającego się coraz bardziej. W skład wydziału wchodzą pp.: K. Dębicki, radca ces. inspektor kolei państw., dr A. Schudmak lekarz, Zygmunt Rosner, sekretarz kraj. Związku turystycznego, Edward Kostecki, inżynier budowy miejsk. Celestyna Rosenberg, nauczycielka szkoły wydziałowej, Tadeusz Biliński, słuchacz filozofii, Maryan Jarocki, nadinspenktor kolei państw., Jan Koszycki, dyrektor szkoły lud. i Leon Silberstein, nauczyciel szkoły wydziałowej.

Krwawe zajście w Rjece.

(Do illustracyi tytułowej).

Zlot Sokolstwa ogólnosłowiańskiego w Zagrzebiu przybrał w Rjece krwawy, zupełnie niespodziewany zresztą epilog. Epilog ten rozegrał się na tle nienawiści plemiennej Dalmatyńców i Włochów oraz Węgrów.

Dnia 3 b. m. przybył do Rjeki specyalny pociąg ze Sokołami, wśród których było 400 Czechów i 300 Dalmatyńców. Mieli się oni udać do Cetynii. Starostwo w Rjece zabroniło projektowanego przez Sokołów pochodu przez miasto ze sztandarami przy odgłosie muzyki. To spowodowało pogłoskę, która lotem błyskawicy obiegła całe miasto, że Sokoli chcą sprowokować Węgrów. Mimo zakazu Sokoli urządzili projektowany pochód, przeciągali w czwórkach ulicami, śpiewając pieśni antywęgierskie.

W mieście uderzyli na Sokołów Włosi, wznosząc nieprzyjazne dla Sokołów okrzyki. Sokoli musieli się bronić. Przyszło więc do walki, w której Sokołom wydarto sztandar. W miejsce wydartego Sokoli rozwinęli drugi sztandar i zaatakowali włoską kawiarnię, którą doszczętnie zdemolowali. W międzyczasie Włosi otrzymali posiłki i na nowo rozpoczęła się bójka, w której padły także strzały rewolwerowe, na które Włosi i Węgrzy odpowiedzieli kamieniami. Na placu Adamowicza przyszło do większego starcia, które się zakończyło poranieniem kilkudziesięciu Sokołów i Włochów.

Następnie Sokoli udali się na okręt, który ich miał odwieźć dalej, do Dalmacyi, ale w nocy znowu powrócili do miasta. Rozpoczęły się ponowne bójki, które trwały jeszcze późno po północy. Jak wielkie rozjątrzenie było po stronie Włochów, tego najlepszym dowodem jest fakt, że na drugi dzień banda Włochów napadła na dwóch Sokołów i pobiła ich tak ciężko, że ich musiano odwieźć do szpitala.

Ogólna liczba ciężko poranionych przenosi cyfrę 150 osób. Kilkunastu Sokołów ukarano za ekscesy w drodze policyjnej. Rozruchy powtarzały się jeszcze przez kilka dni.



Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu: Dr. K. Ostaszewski-Barański, redaktor „Dziennika Polskiego“ we Lwowie i pierwszy zastępca prezesa na zjeździe dziennikarzy słowiańskich.

Illustracya, załączona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia jedną z takich scen, jakie się rozgrywały w Rjece 3 i 4 września br.



Fotografował specyalnie dla „Now. Illustr“. V. Bartone w Uh. Hradiste.

Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu: Korowód ludowy „Izda Krale“, wykonany na rynku w Hradyszczu, na cześć kongesu dziennikarzy słowiańskich.

OFIARY WAMPIRÓW

Romans z życia przez Gr-ego

Dokończenie.

Odtąd śledził Kosiara bacznie księżniczkę Laurę, wiedząc, że znajduje się ona pod ciągłą opieką młodej hrabiny Rożniewskiej i jej męża.

Używał różnych sposobów, żeby nie dać się poznać.

Sam ciągle niewidzialny, obserwował kroki trojga interesowanych osób, nie dając ani na chwilę za wygraną w nadziei, że uda mu się odbić jeszcze raz nowym znowu opiekunom cenną swą zdobycz.

Biedna Laura nawet nie przeczuwała, iż zbój ten jest w pobliżu niej ciągle, nie przeczuwała niebezpieczeństwa nowego, jakie jej groziło na każdym kroku — tak zręcznie manipulował Kosiara, zastawiając na upatrzoną ofiarę swoje sidła.

Jakkolwiek Rożniewskim nie śniło się nawet, by mógł Kosiara jeszcze na ich pupilkę czatować, mimo to szczęśliwym trafem do ostatniej chwili nie wpadła księżniczka w żadną z jego zasadzek.

A nie opuszczał on ich ani na godzinę, byle z oczu Laury nie tracić.

Niepostrzeżony i niepoznany wsiadł zaraz za nimi do tego samego pociągu i odtąd podróżował z nimi.

W Hamburgu już nie wiele brakowało, a byłoby mu się udało porwać ponownie pannę Czerską, ale spotkanie się hrabiego Rożniewskiego z kapitanem d'Hauterive przeszkodziło temu właśnie w samą porę.

W niemałym kłopocie znalazł się Kosiara z chwilą, gdy dowiedział się, że Rożniewscy z Laurą zaniechali podróży do Ameryki i wsiadają na statek udający się do Transwalu.

Zwykłych podróżnych nie przyjmowano na okręt kapitana d'Hauterive'a. Jednakże Kosiara i na to sobie poradził.

Z początku próbował, czy mu się nie uda nająć się na ten właśnie statek do jakiejś roboty, jak to nieraz w portach bywa. Ale nikogo nie przyjmowano i dawano jeszcze baczenie na własną załogę okrętową — z uwagi, iż przewożono tym parostatkiem znaczny zasób amunicyi, zamówionej przez sztab jeneralny wojsk powstańczych Boerów.

Wobec tego wszystkiego Kosiara użył podstępu. Oto w ostatniej chwili, kiedy miano wnosić na statek suchary okrętowe, zakradł się do magazynów, wypróżnił jedną pakę, a na miejsce sucharów sam się zręcznie umieścił i zamknął, że go wraz z różnym towarem z magazynów środków spożywczych zaniesiono dobrze ukrytego w pace i porzucono pod pokładem.

Byli już na pełnem morzu, kiedy Kosiara wylazł ze swego ukrycia i odtąd używał rozmaitych fortelów, byle nie zdradzić swej obecności na okręcie.

Udawało mu się to wybornie.

Raz ukryty podsłuchał rozmowy hrabiego Rożniewskiego z kapitanem d'Hauterive, który swemu przyjacielowi objaśniał urządzenia ratunkowe na statku.

Właśnie w miejscu, gdzie Kosiara niepostrzeżenie mógł wszystkiego wysłuchać, co ten mówił, pokazał kapitan hrabiemu łódkę nowej konstrukcyi, przyczepioną do okrętu. W ciągu paru minut można ją było spuścić na wodę i dostać się do niej ze statku, choćby ten znajdował się w największem już niebezpieczeństwie.

Łódź była znakomicie zaopatrzoną nawet na czas parotygodniowego tułactwa po morzu, a przyjąć mogła wygodnie kilkoro rozbitków.

Zaledwie kapitan odszedł z Rożniewskim, wychylił się Kosiara ze swego ukrycia i zbadał sam dokładnie urządzenie owej łodzi ratunkowej.

Wtedy powziął on plan piekielny. Postanowił w odpowiedni sposób nadwerężyć w kilku miejscach dno okrętu i spowodować tem nocną porą zatopienie okrętu. W krytycznej chwili zamierzał zaś skorzystać z ogólnego zamieszania na pokładzie, porwać przemocą lub podstępem księżniczkę, odpiąć nagle łódź wiadomą, spuścić ją na wodę, wskoczyć z Laurą do gotowej łodzi i uciec wśród nocnych ciemności.

Wkrótce potem, gdy rozszalała się burza na morzu, przyszło na myśl Kosiarze skorzystać z niej bez potrzeby zatapiania okrętu.

Zrozumiał bowiem ze słów kapitana, iż owej łodzi ratunkowej można użyć nawet w czasie burzy.

W godzinie ogromnego zamieszania na pokładzie zjawił się Kosiara właśnie w miejscu, gdzie znajdowała się księżniczka Czerska w towarzystwie hrabiny Rożniewskiej.

Zbadał sytuacyę i upewnił się, że plan jego na nic się nie zda.

Gdyby to było na innym okręcie, przewożącym setki zwykłych podróżnych, na takim naprzykład statku emigranckim, jakim on sam przed laty jechał do Ameryki, sprawa przedstawiałaby się znacznie łatwiej.

Tam tłum pasażerów pod wrażeniem huraganu na pustyni morskiej, poddał by się był od razu panice, której objawy mogłyby wytworzyć pożądany dla złoczyńcy zamęt na pokładzie.

Na krzyk — dajmy na to — hrabiny Rożniewskiej nie byłby nikt nawet zwrócił tam uwagi wśród ogólnego zgiełku. Mógłby był Kosiara śmiało porwać w oczach ludzi Laurę i wynieść ją jak dziecko, wskoczyć z nią do łodzi i zniknąć. Nie byłby się nikt o nich troszczył — każdy sobą zajęty.

Tu przeciwnie. Prócz załogi statku zostającej pod rozkazami kapitana d'Hauterive'a, znajdowało się na okręcie zaledwie kilkanaście osób z podróżnych prywatnych, a byli to mniejwięcej ludzie tego pokroju, co Rożniewscy ze swą towarzyszką i ci wszyscy dostali się tutaj także tylko w sposób podobny, jak hrabia Mieczysław ze swemi paniami.

To też przedewszystkiem nie było tu ścisku i natłoku z powodu przepełnienia, zresztą większość była już oswojoną z burzami morskiemi, więc na ogół nie ogarniała tu jeszcze nikogo panika, a całe zamieszanie, jakie powstało na statku w czasie szalejącego wokół huraganu, było jedynie wynikiem nadzwyczajnego ruchu marynarzy, wypełniających sprawnie rozliczne polecenia kapitana.

Uwzględniwszy to wszystko, od razu nabrał Kosiara przeświadczenia, że nie ma co myśleć o zamachu na Laurę i już miał się usunąć z pokładu i ukryć się z powrotem w zakamarkach spiżarni okrętowej, gdy wtem księżniczka zoczywszy go, krzyknęła...

Jednocześnie obejrzała się też hrabina Halka i ta w upiornej postaci Kosiary rozpoznała natychmiast owego zbója, którego ugodziła w twarz swoją szpicrózgą naówczas, gdy zagrażał życiu **Mieczysława na balkonie wagonu kolejowego.**

Na krzyk obu pań zbiegli się ludzie, którym hrabina wskazywała ręką kierunek, dokąd uciekł łotr. ale już po nim ani śladu nie było.

Zawezwany nadbiegł hrabia Mieczysław, docucono się rychło księżniczki, która lekko omdlała. a oprzytomniawszy, nie mogła się uspokoić, widząc jeszcze ciągle przed sobą straszne widmo...

Gdyby hrabina Halka nie była sama na jej krzyk spostrzegła zbója i nie była go również poznała, wyobrażano by sobie, iż „panna Wanda“ popadła w stan chwilowej halucynacyi i że widmo Kosiary było tylko jej przywidzeniem.

Chwili przestrachu księżniczki zawdzięczano już nazwisko łotra, którego dotąd nikt z nich nie umiał nazwać. Ale nie dość na tem. Gwałtowne wstrząśnienie, jakiego chora panienka doznała na widok zgoła niespodziewany sprawcy tylu nieszczęść i tak długiej tułaczki jej pełnej cierpień zdala od domu ojcowskiego — miało ten skutek zbawienny, że Laura odzyskała od razu swą pamięć właśnie w tym kierunku, w jakim od czasu wypadku kolejowego zupełnie nie domagała.

Więc nietylko w przerażeniu nie do opisania padło z jej ust nazwisko Kosiary, ale zaraz potem, gdy przytomność odzyskała, jęła opowiadać Rożniewskim, że to właśnie ten straszny człowiek porwał ją z Warszawy na skradzionym samochodzie i więził ją następnie to pod Krakowem za rogatką u Płaczkowej, to znów dał ją w przechowanie Pędzikowej na Stradomiu.

Teraz dopiero Rożniewscy dowiedzieli się, że „panna Wanda“ pochodzi z Warszawy i że jest córką księcia Czerskiego, a sama nosi imię Laury, którego nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, podobnie jak żadnych innych szczegółów od czasu jej porwania.

Postanowiono tedy zaraz po przybyciu na miejsce, dać znać telegraficznie ojcu panienki o bezpiecznem jej schronieniu pod dobrą opieką, jakkolwiek niepotrzebnie w tak znacznem oddaleniu przypadkowem od kraju — i ułożyć się z księciem o to, dokąd ma on zamiar wyjechać na spotkanie Laury, którą by mu Rożniewscy odwieźli osobiście. Przedewszystkiem jednak postanowiono ze zdwojoną bacznością czuwać nad księżniczką, skoro okazało się, iż prześladowca jej nietylko żyje, ale goni za nią nadal i nawet znajduje się, widocznie jedynie w tym celu — tuż koło niej.

Tymczasem już mimo burzy, która dość pracy przysporzyła załodze statku, odbywały się pod pokładem na rozkaz kapitana pilne poszukiwania za podejrzanym człowiekiem, który się zakradł na okręt.

Pan d'Hauterive był tem bardzo zmartwiony i zaniepokojony.

Wprawdzie hrabia Mieczysław starał go się na podstawie opowiadań księżniczki upewnić, iż Kosiara cichaczem dostał się na ten statek jedynie ze względu na Laurę Czerską, żeby zapewne nie stracić z oczu swej ofiary i po przyjeździe do Transwalu spróbować porwać ją ponownie. Ale kapitan miał inne podejrzenia, które go napełniły poważną troską. Wszak wiózł on ogromny zasób amunicyi, zamówionej przez Boerów, więc musiał mieć się ciągle na baczności. Dlatego przecież właśnie w Hamburgu tak się pilnował, żeby ktoś niepowołany nie dostał się na pokład odjeżdżającego okrętu.

A jeżeli ten Kosiara, człowiek zdecydowany na wszystko i gotowy nie cofnąć się przed niczem, wsiadł akuratnie na statek kapitana d'Hauterive'a w innych zamiarach, nie dla śledzenia lub ścigania księżniczki Czerskiej...

Tego obawiając się, kapitan osobiście uczestniczył w przeszukiwaniu wszelkich zakamarków, byle się przekonać o jego ukryciu i celach potajemnej podróży.

Jakież było jego zdziwienie, gdy wraz z marynarzami przetrząsł dosłownie cały statek i nikogo obcego nie znalazł.

Więc sam poszedł do księżniczki Czerskiej i zapewnił ją, że musi tu zachodzić jedynie przypadek urojonego widziadła, nigdzie bowiem nie ma nikogo obcego na statku.

Laura protestowała. w czem pomagała jej również młoda hrabina Rożniewska. Obie ręczyły, że widziały nie kogo innego, tylko Kosiarę.

Rychło uspokoiła się burza, a wtedy poszukiwania rozpoczęto na nowo, prowadząc je, o ile możności, jeszcze ściślej w każdym zakątku.

Wszystko okazało się daremne.

Nie znaleziono Kosiary nigdzie.

Ale za to rychło pojawiły się jakieś podejrzane objawy, które zatrwożyły kapitana. Oto na **okręt zaczęła wdzierać się woda.**

Przerażenie ogarnęło marynarzy, gdy zaledwie udało im się zapobiedz katastrofie przez naprawienie powstałego w niewytłómaczony sposób otworu w dnie statku — już gdzieindziej pokazały się podobne wadliwości, a wkrótce potem zaczęły się i tamtędy wdzierać fale pod pokład okrętowy.

Kapitana ogarniała rozpacz prawdziwa. Całe dno parostatku, wprawdzie starszej już konstrukcyi, ale niezbyt dawno odrestaurowanego z zastosowaniem urządzeń nowszych czasów — było, jak się naocznie przekonał, podziurawione rozmyślnie.

— W tem jest ręka angielska! — wołał — to nie może ulegać wątpliwości... Padłem ofiarą zdrady...

I przychodził mu na myśl ów Kosiara, który miał się ukazać księżniczce Czerskiej, ale byłby przysiągł, iż łotr ten dostał się na jego statek nie dla śledzenia panienki warszawskiej, tylko jako dobrze opłacone narzędzie rządu angielskiego.

Ratunek był niesłychanie utrudniony wobec ogromu psoty. Toteż woda coraz gwałtowniej zalewała okręt.

Wobec garstki podróżnych nie sposób było taić dłużej niebezpieczeństwa i kapitan d'Hauterive zdecydował się wreszcie powiedzieć im, że zbliża się katastrofa niemal nieunikniona.

Uspokoił ich wprawdzie, że jest na statku dość łodzi ratunkowych i będzie na tyle czasu, żeby wszystkich jego gości w porę na nie przesadzić z tonącego okrętu, ale mimo to wrażenie, jakie wywarło na wszystkich wyznanie kapitana, było bardzo silne. Rzecz szczególna jednak, że najdzielniej wieść przerażającą przyjęły właśnie kobiety. Okoliczność ta niespodziewana dodała jeszcze odwagi kapitanowi, który do ostatka nie tracąc nadziei, używał wszelkich sposobów, byle zapobiedz ostatecznej klęsce.

Znaczna część zapasów amunicyi już zamokła w tym stopniu, że nie można było ani myśleć, by okazała się jeszcze zdatną do wojskowego użytku. Zresztą pod tym względem kapitan od razu zwątpił, zali da się cokolwiek ocalić z ogromnego i kosztownego transportu.

Zrezygnowawszy z tego, dbał d'Hauterive jedynie o to jeszcze, by o ile by się dało, ocalić sam

okręt wraz z załogą od topieli, która zarówno parostatkowi, jak i ludziom zagrażała coraz poważniej z każdą chwilą.

Straszna noc miała się już ku końcowi. Za chwilę miało zacząć dnieć, gdy wtem okręt „Espero" przechylił się gwałtownie i pierwsze bałwany morskie wdarły się na jego pokład.

Położenie stało się krytyczne.

Dalszy ratunek tonącego statku był już niemożliwy.

Na rozkaz kapitana rzucono się do łodzi ratunkowych.

Teraz właśnie nastała chwila prawdziwego popłochu na statku, chwila, na którą jeno czekał przyczajony Kosiara.

Wyjrzał ze swej kryjówki i zmartwił się trochę, przekonawszy się, iż dnieje już nad oceanem. Żal mu się zrobiło, że chwila taka korzystna dla jego planów djabelskich nie nadeszła nieco wcześniej, póki ciemności nocne mogły mu jeszcze pomagać w porwaniu Laury i ułatwić mu z nią ucieczkę na sekretnej łodzi kapitańskiej.

Ale i to nie zbiło go bynajmniej z tropu, zwłaszcza gdy rozpatrzywszy się w sytuacyi, zaczął pokładać największą nadzieję w panice i zamęcie ogólnym.

Wtem, jakkolwiek właśnie statek tonął już gwałtownie, odezwały się na pokładzie, falami spienionemi zalewanym, okrzyki radosne, które naraz przytłumiać zaczęły dotychczasową orkiestrę jęków rozpaczy ogólnej.

Przyczaił się znowu na chwilę zdumiony Kosiara w jakimś bezpieczniejszym od zalewu zakamarku, chcąc zoryentować się w nagłej zmianie usposobienia załogi.

Radość stawała się powszechną. A jednak dla okrętu wybiła ostatnia godzina. Tonął on coraz gwałtowniej. Więc skądże ta radość?

Woda wdarła się nagle z szumem do zakątka, gdzie w tej chwili krył się Kosiara, który skutkiem tego zdecydował się uciec stamtąd bez względu na to, czy go kto zobaczy. Nie było rady innej. Musiał ratować przedewszystkiem życie, jeszcze chwila bowiem, a byłaby go tam fala zatopiła

Wypadł śpiesznie na najwyższy pokład statku i naraz oczom jego ukazała się istna niespodzianka, która dopiero wyjaśniła powód okrzyków radosnych i pełnych nadziei, jakie dziwiły go w chwili najkrytyczniejszej dla załogi „Espera".

Oto tuż naprzeciw ku tonącemu statkowi zbliżał się jakiś wielki okręt. A marynarze pod wodzą kapitana d'Hauterive'a spuszczali właśnie z „Espera" łodzie ratunkowe, z których jedna dobijała już do brzegu tamtego, opatrznościowego dla nich okrętu.

Kosiara zauważył odrazu, że łódź, która miała mu służyć do uwiezienia księżniczki, pozostawała jeszcze na swojem miejscu.

Ale natomiast zaniepokoił się myślą, że skoro zaczęto przewozić podróżnych na drugi okręt, nie ma już zapewne na pokładzie, tonącego ani Rożniewskich, ani księżniczki Czerskiej. Spóźnił się tedy o kilkanaście minut skutkiem przydługiego ukrywania się w krytycznej chwili i pominął sposobność najlepszą do urzeczywistnienia swego planu porwania Laury. Więc całe jego dzieło piekielne na nic się nie zdało... Wściekłość porwała łotra. Zacisnął pięści. Ale jeszcze jakiś przebłysk nadziei zaświtał mu złowrogo w myśli i w tym celu zbiegł śpiesznie ku miejscu, gdzie wsadzano ludzi kolejno na łodzie ratunkowe.

Rozglądał się naokół, ale nigdzie dostrzedz nie mógł Laury ni Rożniewskich, w których towarzystwie musiała się ona znajdować.

Wreszcie dziki wzrok jego spoczął u brzegu okrętu, który przyjmował gościnnie rozbitków. U brzegu właśnie znajdowała się łódź, na której wśród garstki podróżnych z „Espera" dostrzegł Kosiara oboje Rożniewskich. Szukał oczyma niecierpliwie dalej — aż naraz zadrżał na całem ciele...

Trafił Kosiara spojrzeniem właśnie na chwilę, kiedy Laura padła w objęcia swego ojca...

Dość mu było upewnić się, że zobaczył księcia Czerskiego, a natychmiast postanowił użyć wszystkich sił, byle tylko nie dostać się wraz z innymi na pokład tamtego okrętu, ponieważ nieuniknione spotkanie z ojcem Laury byłoby go zgubiło.

Rzucił się do ucieczki, jak gdyby obawiając się, że ktoś z owej łodzi, na której Czerski witał się z Laurą, dostrzec go może przypadkiem i zwrócić uwagę kręcących się w około niego marynarzy. Zatrzymał się nieopodal miejsca, gdzie do tej chwili wisiała sekretna łódź kapitańska. Widział stamtąd, jak w pośpiesznem tempie odbywał się ciągły transport ludzi i rzeczy z tonącego statku na drugi okręt. Kapitan ciągle komenderował, we wszystkiem uczestnicząc osobiście. Jeszcze kwadrans, a „Espero" pójdzie na dno oceanu. Więc czas ostatni zdecydować się na krok ryzykowny, stanowiący jedyne wyjście dla Kosiary w takiej sytuacyi.

Choćby go nie wskazał teraz Czerski czy Rożniewski, choćby krzyku nie narobiła na jego widok Laura czy Halka, wystarczało, by widział go tutaj teraz kapitan, który znał wszystkich ludzi, płynących na jego statku, a tembardziej musiał wzrokiem kontrolować obecnie wszystkich po kolei przewożonych z okrętu na okręt, ile że przeczuwał, iż ukrywał się do ostatka zręcznie ów gość niepożądany, w którego istnienie uwierzył wreszcie po strasznych skutkach jego dzieła zniszczenia. On tam pewnie czeka tylko na tę chwilę, kiedy mu się pod rękę nawinie ów tajemniczy Kosiara i dlatego to zapewne chce opuścić swój statek ostatni.



Trafił Kosiara spojrzeniem właśnie na chwilę, kiedy Laura padła w objęcia swego ojca.....

A pozostał już kapitan zaledwie z garstką swoich marynarzy, wszystkich wyekspedyowawszy do gościnnego kolegi. Więc nie miał Kosiara już dłużej czasu do stracenia. Zdecydował się. Odpiął sekretną łódź ratunkową, której d'Hauterive dotychczas jeszcze ruszać z miejsca nie kazał — i przekonany, że go nikt przy tej czynności nie dostrzegł, miał właśnie wskoczyć w czółno niezwyczajne, gdy wtem oko w oko stanął przed nim kapitan na czele garstki nadbiegłych wraz ze swym dowódcą marynarzy.

— Tyś to łotrze! — krzyknął d'Hauterive — zwiążcie go!

Lecz zaledwie słowa te wyrzekł, padło kilka strzałów rewolwerowych z ręki Kosiary, a jedna z kul zraniła kapitana. Na ten widok marynarze, pewni, że zbój nie da do siebie przystąpić, zasypali go w mgnieniu oka strzałami śmiertelnemi, od których ciało Kosiary zsunęło się w odmęty morskie...

. . . .

Baron Goldenthal w ślad za Ludwikiem Remanem przyjechał do Paryża. Polował na niego przez dni kilka, wreszcie wpadł na jego trop. Ludwik bawił tam wraz z siostrą swą Marylką, a co więcej, w towarzystwie doktora Jana Anielskiego i jego żony Wandy z Rożniewskich. Ludwik bowiem już się z Janem porozumiał i wspólnie zamierzali rozpocząć proces przeciw Goldenthalowi, w którego portfelu znalezione przez Remana w podziemiach kaplicy w Rożniewie ważne dokumenty odkryły naraz szereg tajemnic.

Dyamenty w szkatułce, zabranej baronowi przez Ludwika, były tylko cząstką bogactw, do których prawo mieli jak najsłuszniej Reman i jego siostra z jednej strony, z drugiej zaś Anielski i jego rodzina.

Spadkobiercy mieli w tej chwili w rękach wszystkie papiery, toteż nie było obawy co do losów procesu. Każdy adwokat byłby im z miejsca powiedział, że sprawę wygrają przeciw Goldenthalowi.

Żył jeszcze w Paryżu pewien rejent wileński, który od dawna wyemigrował z kraju za granicę, a który mógł o całej sprawie wiele powiedzieć i niejeden z pożółkłych dokumentów martwych oświetlić ustną informacyą na niekorzyść Goldenthala.

Do niego to zwrócili się Reman i Anielski zaraz po przyjeździe do Paryża. Teraz wyszły tu na jaw jeszcze nowe machinacye Goldenthala względem rodziny Rożniewskich, o czem wszystkiem nikt wprzódy nie wiedział.

Toteż do procesu Remanów i Anielskiego przeciwko Goldenthalowi przyłączyć się miał teraz i stary hrabia Rożniewski w imieniu swojem i swoich dzieci.

Ale do procesu nie przyszło.

Zanim sam Goldenthal dowiedział się o wszczętych przeciw niemu krokach, poddał Anielskiemu inny projekt książę Czerski.

Przyjechał on do Paryża właśnie w tej porze, dobiwszy szczęśliwie do brzegów Francyi na tym samym okręcie, który przypadkiem ocalił rozbitków z „Espero", a którym książę z Cypryanem jechał z Hamburga w ślad za swą córką.

Wraz z księciem zawitała do Paryża naturalnie i Laura z narzeczonym swym Krzesiakiem i nowymi przyjaciółmi a swymi wybawcami: hrabią Mieczysławem i hrabiną Halką.

Kiedy młody Rożniewski miał już przyłączyć się do akcyi sądowej przeciw Goldenthalowi, książę poradził im wszystkim ugodowe załatwienie sprawy.

Przystał na to baron, wiedząc, że byłby nie tylko proces przegrał, ale głośna sprawa zachwiałaby nadto interesami jego firmy i dlatego wolał po cichu, po otrzymaniu zapewnienia o dyskrecyi, zwrócić sam spadkobiercom należny im majątek, mimo, że skutkiem nagłego wzbogacenia się jego długoletnich ofiar, baron sam przestał być potentatem finansowym w Łodzi i w Warszawie.

. . . .

Na zakończenie winniśmy jeszcze Czytelnikom słówko o Loli Czaplickiej. Niedoszła złodziejka wróciła rychło do Warszawy i usługuje tam w pewnym hotelu jako numerowa, odkąd porzucił ją Alojzy, przekonawszy się, że szkatułka porwana przez Lolę Remanowi z hotelowego numeru, była wprawdzie zamknięta dobrze, ale całkiem próżna. Szczęśliwe przeczucie Ludwika ocaliło dyamenty drogocenne, które byłaby mu skradła Lola do spółki z kelnerem, gdyby je był Reman wówczas, na miasto wychodząc z hotelu, pozostawił wszystkie w szkatułce żelaznej.

KONIEC.



Na Sybir: Grupa skazańców, wyruszająca z Petersburga w drogę na Sybir. Jedna z kobiet, skazana za pospolitą zbrodnię pokazuje język fotografowi.

Na Sybir!

Wobec wzmożenia się w ostatnich miesiącach ruchu rewolucyjnego w Rosyi, rząd petersburski zabrał się energicznie do zgniecenia go zapomocą najostrzejszej represyi. Wydana w ubiegłym tygodniu proklamacya rządu nie tylko nie zapowiada ulg w tym kierunku, ale przeciwnie, z całą stanowczością głosi, że wszelki ruch rewolucyjny tłumić będzie siłą, dopóki w Rosyi nie zapanuje spokój i porządek.

Zsyłki na Sybir są więc od kilku miesięcy w Petersburgu prawie na porządku dziennym. Codziennie prawie wyrusza z głównych miast rosyjskich ponura grupa zesłańców.

Na załączonem obok zdjęciu fotograficznem podajemy Czytelnikom grupę zesłańców, wyruszających na Sybir z Petersburga. Co się tam dziać musi w duszy tego człowieka z brodą, widocznego na pierwszym planie? Na pierwszy rzut oka poznać, że to zesłaniec polityczny. Idzie zrezygnowany, jakgdyby zesztywniały, patrzy, ale zdaje się nic naokół nie widzieć. Taka sama tragedya musi się rozgrywać w duszy drugiego, który niesie przed sobą bukiet kwiecia, ofiarowany mu przez jednego z przyjaciół. Wpatrzył się biedak w ten kwiat, opadły go wspomnienia, nie widzi nic, jeno ten kwiat i idzie machinalnie, bez woli i wiedzy. To „polityczni“. Ale są i inni, pospolici zbrodniarze. Ot, kobieta, również na pierwszym planie, widocznie zdecydowana na wszystko zbrodniarka, stąpa wesoło, a ujrzawszy fotografa, zdejmującego ten ponury obraz, wystawiła mu język i tak została zdjęta na fotografii. Jej wszystko jedno, gdzie będzie, nie umie i nie potrafi odczuć, co to jest Sybir.

Cały ten obrazek tętni grozą i bólem. Dość spojrzeć, aby zrozumieć te ciche tragedye, jakie się w duszach uświadomionych, rozumniejszych zesłańców rozgrywają.

Krzyżacka placówka w Poznaniu.

Pomimo barbarzyńskich ustaw, skierowanych przeciw Polakom w Poznańskiem, pomimo takich represyi, jak męczenie polskich dzieci szkolnych, jak zbrodnicza działalność komisyi kolonizacyjnej, Polacy na Śląsku pozostali tem, czem byli, pozostali i są Polakami. Rząd pruski wścieka się ze złości, wymyśla coraz to nowe represye, ale to wszystko na nic się nie przydaje, owszem, przeciwnemu wprost służy celowi, bo wzmacnia w ciemiężonych uświadomienie narodowe, czyni ich odpornymi na wszystkie zakusy i gwałty krzyżackiego rządu.

Obecnie Prusacy z największym pośpiechem krzątają się około budowy zamku królewskiego w Poznaniu. Są oni przekonani, że budowla ta będzie wzmocnieniem niemczyzny na kresach wschodnich, nową krzyżacką placówką w Poznaniu. Zamek ma być gotowy za trzy lata na uroczyste przyjęcie króla pruskiego.

Ponury ten gmach — jak to widać z planu, załączonego na podanej obok rycinie — ciężki, przysadzisty, budowany jest przez budowniczego Schmechtena z Berlina. Całość gmachu utrzymana jest w dawnym stylu romańskim, co czyni go po-



Krzyżacka placówka w Poznaniu: Projekt zamku królewskiego w Poznaniu, którego budowę już zaczęto.

sępnym i nadaje mu wygląd średniowiecznej siedziby raubritterów niemieckich.

Całe pierwsze piętro nowego gmachu zajmą apartamenty dla pary królewskiej, na drugiem znajdują się pokoje następcy tronu. Wogóle w zamku będzie przeszło dwieście sal i pokoi, w tem kilka nadzwyczajnej prawie wielkości. Naprzykład sala audyencyonalna będzie mieć 600 metrów kwadratowych powierzchni, a wysokością sięgać ma drugiego piętra. Będzie to więc sala wprost imponująca ogromem, bo największa sala w zamku cesarskim w Berlinie, tak zwana sala biała, wynosi tylko 500 metrów kwadratowych. W planach już sala ta zamku poznańskim przedstawia się wspaniale. Obliczono ją widocznie na wywieranie efektu na tych, którzy w Poznaniu, na ziemi odwiecznie polskiej, stawać będą przed obliczem króla pruskiego, lubiącego, jak wiadomo, otaczać się iście bizantyjskim przepychem.

Zamek poznański, którego budowę już rozpoczęto, ma więc być nowym posterunkiem niemczyzny na kresach. Czy się przyczyni do wzrostu tej niemczyzny, wątpić należy bardzo. Polacy, od tylu lat jęczący w jarzmie najostrzejszej represyi, zahartowali się w walce o swoją narodowość tak, że o polskość dzielnicy poznańskiej możemy być zupełnie spokojni. I kto wie, czy kiedyś zamek królewski w Poznaniu nie będzie jedyną ostoją niemczyzny w tem prastarem mieście polskiem.

Życie uliczne w Warszawie.

Ostatni tydzień zaznaczył się w Warszawie szczególniej rewizyami ulicznemi. Warszawa już się do tego przyzwyczaiła, taksamo, jak przyzwyczaiła się do napadów bandytów, powtarzających się prawie co dzień, dla tych jednak, którzy w niej nie byli przez kilka miesięcy, wszystko to jest straszną nowością, działającą na nerwy.

Rewizye uliczne, jak dotąd, nie wydały jednak spodziewanego rezultatu. Spokojni obywatele, nie mięszający się do niczego, nie mają przy sobie zazwyczaj żadnych rzeczy, którebу ewentualnie mogły uledz konfiskacie, a jeśli mają broń, to zwykle mają i pozwolenie urzędowe na noszenie jej. Ci więc zawsze wychodzą cało. Rewolucyoniści zaś są zazwyczaj tak doskonale poinformowani, że wiedzą wprzód, gdzie i kiedy ma się odbyć rewizya uliczna, więc też stron tych unikają z całą ostrożnością. Zawsze jednak po rewizyi, odbytej na jakiej ruchliwszej ulicy, kilku ludzi jest aresztowanych.

Na załączonej obok illustracyi widać właśnie



Życie uliczne w Warszawie: Odprowadzanie do cyrkułu aresztowanego na ulicy przez patrol wojskowy.



Odrodzenie się Chin: Uroczysta defilada pierwszej „Gwardyi narodowej" zorganizowanej na wzór armii europejskich, przeciągającej w paradzie po głównych ulicach Szanghaju, wśród tłumów publiczności.

taki obrazek z ulicznego życia dzisiejszej Warszawy. Po rewizyi przy ul. Marszałkowskiej aresztowano jakiegoś podejrzanego osobnika i pod strażą odprowadzają go do więzienia. Co to za jeden? Niewiadomo. To dopiero wykaże „śledztwo“, które zadecyduje o dalszych losach tego człowieka.

rząd zabrał się energicznie do tego, aby społeczeństwo przygotować do konstytucyi. Wzięto się więc odrazu do reformy administracyi i gorączkowo prawie zabrano się do reform na wszystkich polach życia społecznego.

Dwie są w Chinach partye, dążące do reform do narodowego życia, nie trzyma się żadnych reguł, ale najczęściej gotuje imponujące niespodzianki.

Tym pierwszym krokiem na polu reorganizacyi armii, było utworzenie gwardyi narodowej w Szanghaju. Jest to pułk, zorganizowany zupełnie według



Fot. specyalnie na zlot przez redakcyę „Now. Illustr.“ wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Grupa Sokołów chorwackich ze Samoboru w ćwiczebnych ubraniach.

Odrodzenie się Chin.

Przed kilku dniami doniosły telegramy, iż cesarz chiński wydał edykt, zapowiadający zaprowadzenie w Chinach konstytucyi. W edykcie zaznaczono wyraźnie, że konstytucya nadaną zostanie dopiero za kilka lat, mianowicie wtedy, kiedy społeczeństwo do konstytucyi dojrzeje, zrozumie i odczuje jej potrzebę, pojmie stosunek, jaki je ma łączyć z konstytucyjnym rządem. Aby zaś edykt ten, zresztą zupełnie dobrowolnie i bez nacisku ze strony społeczeństwa przez cesarza wydany, nie wydał się jeno obiecanką, pustą symfonią frazesów, i dwa programy, których urzeczywistnienie ma odwieczne „państwo środka“ wydźwignąć z odwiecznej słabości. Z programów tych jeden jest na wskróś nacyonalistyczny, drugi budować chce przyszłość przedewszystkiem na reformach. Wspólną troską obu partyi jest jednak reorganizacya armii. Nie można tu jeszcze alarmować świata wstrząsającemi nowinami. Na stworzenie licznej armii i dobrej, wielkiej floty, trzeba i czasu i miliardów. Chiny zabrały się dopiero do dzieła, a miliardów własnych długo im jeszcze będzie brakować. Pierwszy krok jednak jest już zrobiony, a historyczne doświadczenie uczy, że postęp ludów, obudzonych wzorów europejskich. Przed kilkunastu dniami odbyła się wśród ogromnych uroczystości pierwsza paradna defilada tego pułku po pryncypalnych ulicach Szanghaju. Miasto całe przybrane było chorągwiami i festonami, a ludność tłumnie wyległa na ulice, aby się przyjrzeć wojsku, które ma być podwaliną nowej armii chińskiej, potrzebnej do odrodzenia się Chin. Załączona obok illustracya przedstawia widok ulicy w Szanghaju, zapełnionej ludźmi, witającymi owacyjnie przeciągającą w paradzie gwardyę narodową. Chiny zabrały się więc na seryo do dzieła odrodzenia. W jakim tempie pójdzie ta praca dalej — zobaczymy.



Fot. specyalnie na zlot przez redakcyę „Now. Illustr.“ wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Grupa Sokołów i Sokolic z Waraždyna.

Zlot Sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu.

Jak grom przebiegło przez całą Słowiańszczyznę, po wszystkich ziemiach słowiańskich gromkie hasło: „Na zlot" i oto zatrzepotały sokole sztandary, zajaśniały czerwone koszule i do Zagrzebia popłynęły ze wszystkich stron setki Sokolich drużyn, aby wziąć udział w ogólnosłowiańskim zlocie, będącym niejako przeglądem sił, zjednoczonych pod sokolim sztandarem, sił, mających stanowić zaporę przeciw naporowi germańskiemu na Słowian.

Nie pozostała w tyle i Galicya, która wysłała na to święto ogólno-słowiańskie przeszło 300 druhów, mających pobratymcom chorwackim, którzy ich na zjazd zaprosili, okazać dowodnie, jaka nas z nimi łączy sympatya i wzajemna życzliwość, jak ich dążenia narodowe żywem się w piersiach naszych odbijają echem.

Redakcya „Now. illustrowanych", której jedynem pragnieniem jest, aby Czytelnikom jak najdokładniej zobrazowywać życie społeczne każdego tygodnia, wysłała na zlot do Zagrzebia specyalnego fotografa naszego pisma p. Edwarda Pierzchalskiego z Krakowa. I oto w numerze niniejszym przynosimy Czytelnikom wiązankę fotografij ze zlotu, dumni, żeśmy spełnili swój obowiązek dziennikarski i pierwsi przynieśli Czytelnikom illustracye z tej rzadkiej uroczystości sokolej, noszącej na sobie tak wybitne piętno ogólnosłowiańskie.

Drużyny sokole z Galicyi wyjechały we czwartek rano. Popołudniu o godz. 5 drużyny z Galicyi zachodniej połączyły się w Koszycach, poczem odjechały do Budapesztu, gdzie zlały się z drużynami z Galicyi wschodniej.

W Budapeszcie fotograf nasz odfotografował wszystkich polskich uczestników wycieczki, zdążających do Zagrzebia. Grupa to liczna, bo około 300 osób licząca, w tem kilkanaście nadobnych

(Dalszy ciąg na stronie 12).



Fot. specyalnie przez redakcyę „Now. Illustr." na zlot wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Grupa Sokołów i Sokolic bułgarskich w otoczeniu druhów innych narodowości.



Fot. specyalnie przez redakcyę „Now. Illustr." na zlot wysłany E. Pierzchalski.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Grupa polskich uczestników zlotu, zebrana na wycieczce w Samoborze, w prześlicznej miejscowości, o godzinę drogi od Zagrzebia oddalonej.

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

4

Ciąg dalszy.

— Więc ta dziewczyna jest Francuzką?

— Tak jest; i to jest nawet trochę niewygodne, bo mówi tylko po francusku. Ale ja się już wprawiłam nawet i rozmawiam z nią zupełnie swobodnie.

— Ona nie umie po angielsku? Wiesz o tem napewne?

— Pokojówka moja przyjechała tutaj z pewną francuską rodziną. Rodzina ta powróciła już do Paryża, Łucyi jednak Nowy Jork tak się spodobał, że zdecydowała się tutaj zostać. Jest w Ameryce dopiero od sześciu tygodni, a tak szybko nie można się nauczyć obcego języka. Zresztą cóż ci tak na tem zależy?

— Mój Boże, nie lubię być podsłuchiwanym, zwłaszcza teraz, a wiesz chyba zbyt dobrze, że właśnie tego rodzaju panienkom podsłuchiwanie robi szczególniejszą przyjemność.

Gdyby Robertson był wiedział, jakie prawdziwe mniemanie miał o pokojówkach, zwłaszcza w tym momencie, to może Łucya stałaby się dlań była jeszcze antypatyczniejszą, niż na pierwsze wejrzenie. Stała ona teraz przy dziurce od klucza i znaczącem skinieniem notowała sobie w pamięci każde słówko, wypowiedziane w salonie Julii.

Grzegorz Robertson był sprytnym, przezornym człowiekiem. Musiał naprzód zbadać wszystko, zanim się zadowolnił.

— Julio — rzekł — zawołaj tu tę dziewczynę pod jakim bądź pozorem!

— Na co?

— Chciałbym się upewnić, że nie zostałaś oszukana.

— Ale skądże nagle ta nieufność? Przecież kiedyindziej nie troszczysz się zupełnie o moich ludzi!

Spojrzał na nią wiele mówiącym wzrokiem. Zdawało się, że Julia wzrok ten zrozumiała, bo podniosła się i zawołała na Łucyę.

Dziewczyna weszła do pokoju. W wzroku jej malawała się taka niewinność i czystość, że dziwić się nie było można, iż jej pani obdarzyła ją pełnem zaufaniem.

Julia kazała Łucyi po francusku zrobić coś, co ją na chwilę musiało zatrzymać w pokoju.

— Ależ Julio! Skądże ty wzięłaś tę dziewczynę? — zapytał Robertson głośno po angielsku. — Przecież to jest osoba podejrzana, którą zna każdy z ulicy i która jest pod nadzorem policyi!

Przy tem strasznem i może zbyt śmiałem twierdzeniu spoczęły jego przenikliwe oczy na dziewczynie, jakby ją chciały przeszyć. Ale nawet najdrobniejsza zmiana w jej rysach nie pozwoliła rozpoznać, czy zrozumiała straszną potwarz, jaką na nią rzucił Robertson. Nie mogłaby patrzeć spokojniej i obojętniej, gdyby nawet była głuchoniemą.

Julia, rozbrojona jej niewinną minką, odparła na to:

— Cóż ci znów wpadło do głowy rzucać taką potwarz?

— Co mi wpadło? To, że zawołam policyanta i każę aresztować oszustkę, która się wdarła tutaj jako porządna dziewczyna!

I tym razem twarz dziewczęcia była tak samo spokojną, jak przedtem. Nie zwracając na nic uwagi szukała Łucya dalej jakiejś rzeczy w szufladzie.

Julia kazała jej odejść, powiedziawszy jej przedtem kilka uprzejmych słów.

— Raz jeszcze pytam cię, co to ma znaczyć — zwróciła się do Robertsona, kiedy Łucya wyszła z pokoju.

— Chciałem ją wystawić na próbę.

— Ach tak! A rezultat?

— Jestem przekonany, że ani słowa nie rozumie po angielsku. Gdyby mnie była zrozumiała, byłaby na takie oszczerstwo przynajmniej powiekami mrugnęła.

Julia Harrington powróciła do pierwotnego tematu, do pieniędzy, które mieć chciała.

— Czyby ci twój wspólnik nie wystawił weksłu na kilka tysięcy? — spytała.

— Zapominasz o tem, że w ostatnich czasach wybrałem już z interesu tyle pieniędzy, iż tak czy tak muszę się obawiać, iż lada dzień obudzę podejrzenie i nieufność w starym Mortonie. Kilka tysięcy więcej mogłoby sprowadzić katastrofę, której się obawiam.

— Wszystko mi jedno, Grzegorzu. Mówię ci tylko, że w tym tygodniu jeszcze muszę mieć pięć tysięcy dolarów. Róbże więc teraz, jak chcesz!

— Przykro mi, Julio, ale ci ich dać nie mogę.

Wtedy ona pochyliła się ku niemu i prawie z sykiem szepnęła:

— Czemu nie spieniężasz żadnego z tych papierów? Po co to ociąganie się?

— Byłby to czyn fatalny! — zawołał, a śmiertelna bladość pokryła mu oblicze.

— Ależ ja mogłabym sprzedać kilka tych obligacyi bez niebezpieczeństwa!

— Nie, nie, nie wódź mnie na pokuszenie! Oboje bylibyśmy zgubieni. Plan mój jeszcze nie dojrzał. Wtedy dopiero mógłbym papiery te spieniężyć, kiedy się upewnię, że podejrzenie nie padło na mnie.

— Ja już teraz wiem, jak to zrobić — powtórzyła Julia.

— Raz jeszcze proszę cię, nie kuś mnie, boby to na złe wyszło nam obojgu.

— W takim razie drogi nasze muszą się rozdzielić. Tysiące legnie u mych nóg, jak ciebie opuszczę.

— O Julio, ty mnie do szaleństwa doprowadzasz! — zawołał boleśnie, pożerając piękną kobietę namiętnym wzrokiem.

— Nie, to ty mnie do szaleństwa doprowadzisz, jeśli mi nie dasz pieniędzy! A więc, zgadzasz się na mój plan, czy nie? Znam pewnego człowieka, który za kilka tysięcy dolarów zgodzi się parę obligacyj spieniężyć.

— Aby potem wpaść w ręce policyi — zauważył Robertson ironicznie.

— Tak jest — odparła lakonicznie.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Przecież dla nas nie może się zdarzyć nic lepszego, jak to, że on wpadnie w ręce policyi. Człowiek ten przysięgnie, że obligacye kupił od Henryka Wilberta. Musimy to, o ile można, tak urządzić, żeby go kilka razy widziano w towarzystwie Wilberta, coby mogło potwierdzić kilku świadków, bo przez to wiarygodność tego człowieka byłaby dla sądu pewniejszą.

— A jeśli ten człowiek, o którym myślisz, ostatecznie nas zawiedzie?

— Tego się tutaj obawiać niema potrzeby. Ja ręczę za niego, Grzegorzu — to mój brat.

— **Wobec tego dobrze! — rzekł Robertson po** chwilowem wahaniu.

— Więc ja to tak urządzę, że ty się z moim bratem rozmówisz, ale nie tutaj, u mnie, lepiej gdzieś na innem miejscu — nigdy nie można być pewnym — zobaczysz, że on naszą sprawę zręcznie poprowadzi; jest on w tych sprawach wyrafinowany i nie nowicyusz! — roześmiała się.

Potem podeszła do Robertsona i ucałowała go miłośnie. Gdy już raz dopięła tego, czego chciała, stała się czarująco piękną i miłą. Umiała przykuć na nowo do siebie człowieka, raz już namiętną miłością zaślepionego.

Oboje omówili teraz plan jak tylko mogli najzręczniej. Gdyby jednak byli zobaczyli tryumfujący uśmiech na twarzy pokojówki, która w przyległym pokoju dopiero od drzwi się odsunęła, może wiara ich w udanie się tego planu byłaby się nieco zachwiała.

* * *

— No, czy ten stary baran nareszcie poszedł? — zapytał jakiś elegancko ubrany dandys, wchodząc do pokoju Julii.

— Chwała Bogu Karolu, już poszedł. Doprowadziłam go do tego, że chce ci oddać kilka papierów wartościowych do sprzedania.

Młody ten dandys nazywał się Karol Harrington i uchodził za brata Julii. Z wyglądu był to mężczyzna piękny, ale na twarzy jego wyryte było piętno zepsucia i dzikości. Było to jedyne podobieństwo, jakie można było zauważyć między nim a piękną Julią.

Znowu weszła Łucya i zwróciła się do swej pani z jakiemś pytaniem w kwestyi toalety. Julia zbyła ją krótką odpowiedzią i zaraz ją wysłała z pokoju.

— Któż to jest, ta ładna dzieweczka, Julio? — spytał Karol Harrington, mrużąc lekko swoje małe oczy.

Podejrzliwym, nieufnym wzrokiem spojrzała nań Julia i odparła swobodnie:

— Moja nowa pokojówka!

— Dyabelnie ładna!

Słowom tym, cicho wypowiedzianym, towarzyszył lekki gwizd.

— Skądżeś ty ją wzięła? — zapytał głośno.

— Ależ Karolu, mamy przecie ważniejsze rzeczy do omówienia!

— A więc — mam sprzedać kilka obligacyj? Obecnie nie bardzo mi się to uśmiecha, bo tak czy tak już mi następują na pięty — — —

— Odkądże to zrobiłeś się tchórzem?

— No, moja Julio, wiesz że ja to zrobię, tylko musisz powiedzieć twemu staremu, co ja przy tem ryzykuję i na co się narażam. Musi mi więc wyznaczyć stosowną nagrodę.

— Jakiś ty naiwny, Karolu!

— Jakto?

— No, czyż nie rozumiesz, że każdy halerz z tych skradzionych pieniędzy należeć będzie do mnie? Potem obydwoje razem stąd wyjedziemy!

— Bardzo to dobrze pomyślane, mój skarbie. Ale jednak ty tego swego starego zanadto nie doceniasz. Chwilowo jest on w tobie zakochany po uszy, patrzy na wszystko twojemi oczyma i robi to, co ty chcesz. A jednak może przecie przyjść czas, kiedy się inaczej myśleć nauczy. Bo zresztą jest to szczwany lis. Onby nawet ciebie mógł wprawić w zdumienie, najdroższa!

— Biorę na siebie wszelkie ryzyko, Karolu! Ja go znam lepiej, niż ty. Jutro wieczór ma on ci wręczyć obligacye. Gdzie się może z tobą spotkać bez zwrócenia uwagi? Tutaj nie, bo to dla mnie niewygodne.

— U Doricka. Tam się człowiekiem przynajmniej nikt nie zajmuje i nikt na nikogo nie zwraca uwagi.

Dorick nazywał się ten osławiony hotel, w którym Marya Golling rozmawiała w nocy z Henrykiem Wilbertem.

— Gdzież tam? Przecie w restauracyi nie można!

— Naturalnie. Niech przyjdzie do pokoju pod numer 20. Ja go na jeden dzień wynajmę.

— O której godzinie? — pytała Julia dalej.

— O dziesiątej.

— A może lepiej później?

— Niby dlaczego?

— No, lepiej bez kwestyi. Ludzie już wszyscy śpią, jesteście więc bezpieczniejsi.

— Ślicznie. A więc o dwunastej w nocy. Skończone!

I on także ucałował ją w sposób, który absolutnie wykluczał możliwość, aby to był jedynie braterski pocałunek... —

— — — — — — — — — — — — — —

Skąd się Łucya nagle wzięła w domu Julii?

Marya Golling poszła była wówczas za damą, która Robertsona odwiedziła w banku i szła za nią potajemnie aż ku jej mieszkaniu. Po południu Marya zatrzymała się w sąsiedztwie tego domu, czekając, aż Julia Harrington wyjdzie na nowo. Julia znalazła ją płaczącą, opartą o żelazną kratę i zapytała ze współczuciem, co jej się stało.

Dziewczyna potrząsła głową i odpowiedziała po francusku, że angielskiego nie rozumie.

Julia Harrington mówiła po francusku wcale płynnie, tak, że łatwo się z nią porozumiała.

Łkając, opowiadała jej dziewczyna, że wraca właśnie z biura pracy z rozmaitymi adresami, gdyż szuka miejsca pokojówki. Z powodu nieznajomości języka krajowego nie miała odwagi nawet wchodzić do domów, bo już w tylu miejscach jej nie zrozumiano. I znowu zaczęła głośno płakać, wyznając, że niema absolutnie żadnych środków dożycia.

— A cóż panienka umie? — spytała Julia Harrington.

— Byłam pokojówką w najarystokratyczniejszych domach w Paryżu i umiem tak mniej więcej wszystko, co należy do mego zawodu.

Julia od kilku tygodni nie miała pokojówki, gdyż zmieniała je co chwila. Żadna nie mogła jej zadowolnić. A może jej teraz przypadek zsyła dobrą pokojówkę? Dziewczyna była Francuzką, kto wie, może ona umie więcej, jak inne. I kiedy Julia pokazała jej jeszcze potwierdzone przez policyę znakomite świadectwo jej dawnej pani, Julia wzięła ją do służby.

W ten sposób Marya Golling przyszła do domu Julii Harrington jako francuska pokojówka imieniem Łucya. Chciała spróbować, czy nie dowie się tam pewnych rzeczy, które jej ułatwią badanie sprawy, a teraz, w tak krótkim czasie odkryła już znacznie więcej, aniżeli się kiedykolwiek mogła spodziewać.

Na drugi dzień po przyjęciu Łucya poprosiła pani, aby jej pozwoliła przynieść sobie rzeczy z hotelu, w którym razem z dawnem swem państwem mieszkała. W ten sposób mogła wręczyć Wilbertowi trzy tysiące dolarów.

Teraz Marya znała miejsce i czas, w którym kilka obligacyj miało wyjść na światło dzienne. Powiedziała sobie, że musi być świadkiem rozmowy między Robertsonem i jego kochanką.

Około godziny 11 tego wieczora weszło trzech mężczyzn pod wodzą czwartego do domu, który Harrington określił nazwą: hotelu Doricka. Czwarty z nich był to Francuz, znany w hotelu pod nazwą Durand. Monsieur Durand zaprowadził swoich przyjaciół pod numer 19. Zaledwie przeszli przez próg i zaryglowali drzwi, wszyscy czterej odrazu zdjęli buty. Potem przysunęli stoły i stołki pod drzwi, oddzielające numer 19 od numeru 20. Zapomocą świdrów wywiercili nieznaczne dziury i włożyli w nie specyalnie przyrządzone szkła, naprzeciw których ustawili zwierciadła, tak, że mogli doskonale widzieć wszystko, co się działo w drugim pokoju.

Zaledwie ukończyli te przygotowania, kiedy na kurytarzu dały się słyszeć kroki i jacyś ludzie weszli do numeru 20.

Jak na komendę wszyscy czterej skoczyli na stołki obok stołu i zaczęli robić użytek ze swoich szczególnych przygotowań, obserwując i podsłuchując, co się działo w przyległym pokoju.

Pod numerem 20 znajdowali się Robertson i Harrington.

— Jak słyszałem, masz pan zamiar sprzedać kilka obligacyj — zaczął Harrington swobodnie, jakby to chodziło o najobojętniejszą rzecz na świecie.

— Tak jest, pod pewnymi warunkami.

— A te są?

— Że przedewszystkiem muszę wiedzieć, komu te papiery mają być sprzedane.

— Człowiekowi, na którego absolutnie zdać się możemy.

— Któż to jest ten człowiek?

— Nazywa się Henryk Smith.

Robertson, zdawało się, przestraszył się chwilowo. Tego Smitha znał on jako człowieka nieposzlakowanej uczciwości i honoru, człowieka który tak samo jak jego firma, cieszył się najlepszą opinią.

— Przecież nie powie pan chyba, że Smith wdaje się w nieczyste historye.

— Tylko w takie! Czasami pozwala sobie na czyste interesa, ale to rzadko i tylko na pokaz!

— Dobrze! A więc dalej. Wiesz pan dobrze, od kogo pan kupił obligacye?

— Rzecz naturalna. Od Henryka Wilberta!

— Będzie pan mógł to udowodnić?

— Już ja się o to postaram! — odparł Harrington ze szczególnym uśmiechem.

Potem naradzali się obydwaj jeszcze przez jakie pół godziny, wreszcie Robertson uspokojony pożegnał się ze swoim wspólnikiem, kiedy go tenże na końcu jeszcze zapewnił, że w takich sprawach ma praktykę i doświadczenie i że cała sprawa pójdzie „jak po mydle“.

W kilka chwil później i ci czterej z pod numeru 19 opuścili hotel.

* * *

Na drugi dzień po opisanych powyżej zajściach złożył Robertson znowu wizytę Julii Harrington. Nigdy nie wchodził on do tego domu bez nieufności, bo jego skłonna do zazdrości natura kazała mu zawsze obawiać się zdrady ze strony ukochanej.

Idąc przez długi kurytarz wielkiego mieszkania, rozglądał się naokoło, a nawet podsłuchiwał pod rozmaitemi drzwiami. W małym pokoju, który przez dzień służył za mieszkanie dla pokojówki, a przytykał wprost do mieszkania Julii, siedziała Łucya przy stole i pisała. Ta okoliczność, jakkolwiek sama w sobie bez znaczenia, rozbudziła niepokój w tym trwogą dzisiaj żyjącym człowieku. Poszedł więc kurytarzem o jedne drzwi dalej, i wszedł do salonu, przytykającego do pokoiku, w którym mieszkało dziewczę, aby módz być zawsze najbliżej koło swej pani. Salon był chwilowo pusty, a drzwi do pokoiku Łucyi stały otworem. Bez szmeru na palcach, jak kot podszedł Robertson bliżej. Lornetka na biurku Julii leżąca pozwoliła mu choć z trudem odcyfrować kilka słów, jakie Łucya pisała. Dziewczyna była do niego odwrócona tyłem, podszedł więc jeszcze parę kroków dalej — tak, nie łudził się — to, co ona pisała, to było pisane — po angielsku.

A więc jego pierwotne niedowierzanie wobec tej niby Francuzki było całkiem uzasadnione. Więc ona podeszła swoją panią. Robertson wyszedł szybko na kurytarz, postanowiwszy innemi drzwiami wejść otwarcie do pokoju Łucyi i wziąć ją na spytki.

Zanim jednak mógł wykonać swoje postanowienie, wyszła i Łucya na kurytarz, śpiewając półgłosem jakąś wesołą piosenkę francuską. Kiedy nagle znalazła się przed Robertsonem, krzykła i stanęła jakby ogromnie zmieszana, starając się ukryć w fałdach fartuszka zapisaną kartę.

— Co tam panienka ma? — zapytał ostro po francusku.

Zarumieniła się i odparła:

— Chciałabym się z chęcią nauczyć po angielsku; kupiłam sobie gramatykę, ale — westchnęła — to tak ciężko, tak ciężko, monsieur. Próbuję teraz tłómaczyć.

Robertson wydarł jej kartkę. Była ona cała zapisana angielskiemi zdaniami, ale tak, że każde słowo roiło się od błędów.



...Gdyby jednak byli zobaczyli tryumfujący uśmiech na twarzy pokojówki, która w przyległym pokoju dopiero od drzwi się usunęła....

Robertson zaczął sobie wyrzucać, że skrzywdził dziewczynę, która była najzupełniej niewinną. Przekonał się, że to, co go tak przestraszyło, angielskie słowa, były jeno nieudolnemi próbami Francuzki, uczącej się po angielsku.

Ale ten, tak zresztą roztropny mężczyzna, nie przeczuwał nawet, że przed tą dziewczyną zdradziło go lustro, i że Łucya, przy wrodzonej przytomności umysłu, gra z nim jeno zręczną komedyę. W rzeczywistości bowiem pisała ona raport do dyrektora Junga.

Julia usłyszała w jadalnym pokoju głosy obojga i podejrzywając coś złego wyszła na kurytarz, dziwiąc się, co Robertson miał do czynienia z ładną pokojówką.

Dziewczyna w paru słowach opowiedziała jej swoją rozmowę z „monsieur“ i oddaliła się.

— Ale się nastraszyłem porządnie! — ozwał się Robertson do Julii.

— Cóż ci znowu napędziło stracha? Może ci Julia oświadczyła się z miłością?

— Cóż znowu?! — wybuchnął i opowiedział, jakie go znowu napadły wątpliwości co do tej dziewczyny i na jakiej podstawie.

— Głupstwo! — zawołała Julia zgniewana, chociaż w tej chwili obudziło się i w niej podejrzenie, ale w innym kierunku, aniżeliby kto sądził.

Po odejściu Robertsona siedziała długo pogrążona w myślach. Wszystko, o czem dotychczas nigdy nie myślała, wydało jej się naraz podejrzanem. Dlaczego ta dziewczyna jej właśnie stanęła w drodze, dlaczego Robertson tak nagle i bez żadnej przyczyny udawał, że jej nie dowierza, a potem z nią przecie rozmawiał na kurytarzu? Czy nie zrobił on tego w chytrem wyrachowaniu, aby ona, Julia, tem łacniej wpadła w sieć, jaką on na nią nastawił? Czy to nie on sam wprowadził tę dziewczynę do jej domu, aby podczas jego nieobecności ją śledziła i szpiegowała? Tak, wszystko to możnaby złożyć na karb jej zazdrości — ale czyż dopiero przedwczoraj Karol jej nie powiedział, że Robertson to szczwana sztuka, że ona się srodze myli, uważając go za lekkomyślnego głupca. A może w końcu Karol miał racyę?

Coraz silniej utwierdzało się w niej przekonanie, że dziewczyna tylko udawała, iż nie rozumie po angielsku, aby ją tem łatwiej módz śledzić na rzecz zazdrosnego kochanka. Julia myślała o Karolu, o możliwości nie przyjścia w posiadanie skradzionych pieniędzy, gdyby dziewczyna ta wywąchała i uwiadomiła Robertsona, iż Karol nie jest wcale jej bratem. A nie mając pieniędzy, traciła Karola, którego kochała, na swój sposób kochała i w którego ręku stała się narzędziem naciągania bankiera. Dla Karola żądała ona od zakochanego głupca niezliczonych sum, dla Karola nakłoniła bankiera do zbrodni, do skradzenia papierów wartościowych z własnego banku. I gdyby Robertson dowiedział się o tem, że ona go oszukuje, gdyby się o tem dowiedział od Łucyi!

— Ah! Jeśli moje podejrzenie jest uzasadnione — szepnęła Julia złym głosem — to ja ją zmuszę do milczenia!

I na twarzy tej pięknej kobiety pojawił się okrutny, szatański błysk.

— Łucyo! — zawołała — Łucyo!

Ze zwykłą grzecznością dziewczę weszło do pokoju i spytało o rozkazy.

Naraz bez przygotowania Julia zapytała po angielsku:

— Do kogo panienka przedtem pisała?

Dziewczyna potrząsła głową, widocznie zdumiona tem, że Julia zagadnęła ją w tym języku, o którym przecie doskonale wiedziała, że jej pokojówka go nie rozumie.

Julia zaczęła więc odrazu mówić po francusku, jak gdyby nawet nigdy nie myślała o tem, kto przed nią stoi. Dała jej kilka błahych rozkazów i oddaliła dziewczę.

Późną nocą, bo już po godzinie dwunastej, udała się Julia cichutko do pokoiku pokojówki. Znajdował się on tuż przy końcu kurytarza, tak, że za nim był tylko jeden duży pokój pusty, nie wynajmowany przez nikogo. Julia zabrała ze sobą flaszeczkę chloroformu i jedwabną chusteczkę. Miała zamiar dziewczynę uśpić i dokładnie zrewidować jej rzeczy.

Ostrożnie otworzyła drzwi do pokoiku i weszła. W ciemności na palcach podeszła na miejsce, na którem stało, jak wiedziała łóżko, trzymając w ręce napojoną chloroformem chusteczkę. Lekko przesunęła ręką po poduszce—przestraszyła się jednak—poduszka była gładka i nieruszana. Drżąc ze wzruszenia zapaliła światło i krzyk przerażenia wydarł się z jej bladych warg. Łóżko było próżne, dzisiaj jeszcze wogóle nieruszane.

* * *

Łucya, albo raczej Marya Golling, odeszła jak zwykle, powiedziawszy „dobranoc“ swojej pani i udała się do swego pokoju.

Jednak już po kilku minutach otworzyła ukryte w ścianie drzwi, wiodące do pokoju przyległego. Pokój ten wynajęła Łucya na czas swej służby od gospodarza pod pozorem, że ma w mieście krewnych, którzy chcieliby mieszkać przy niej.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Fot. specyalnie na zlot przez redakcyę „Now. Illustr.“ wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Grupa zbiorowa Sokołów wszystkich narodowości, reprezentowanych na Zlocie.

druhiń. Fotografię tę zamieściliśmy w poprzednim numerze naszego pisma.

W sobotę rano sokoli polscy wyjechali już gremialnie do stolicyi Chorwacyi, do Zagrzebia, gdzie przybyli popołudniu. Spotkało ich tam entuzyastyczne przyjęcie, takie, jakiego się napewno skromni druhowie nie spodziewali. Na dworcu oczekiwała ich tysiączna publiczność, oraz delegacya Sokoła chorwackiego. Wśród szpaleru publiczności, wznoszącej niemilknące na cześć gości okrzyki, przesunęły się drużyny sokole polskie na ulice, witane wszędzie gromkiem „Živio!“ „Na zdar!“ i „Czołem!“. Wieczorem odbyło się w teatrze miejskim galowe przedstawienie na cześć Polaków. Odegrano sztukę, pt. „Pani Walewska“. Po koncercie zasiadło w ogrodzie do wieczerzy około 5000 osób. Powitał sokołów dr Mazzura, sekretarz chorwackiego związku, potem przema-



Fot. specyalnie przez redakcyę „Now. Illustr.“ na zlot wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Czoło uroczystego pochodu Sokołów przez miasto dnia 2 września, ze sztandarami i starszyzną sokolą. Zdjęcie podczas przemówienia burmistrza Zagrzebia dra Milana Amrusza przed gmachem pawilonu Sztuki.

wiali prezes Sokoła zagrzebskiego dr Vrbanicz, naczelnik Jan Durski ze Lwowa, burmistrz Pragi Gross, burmistrz Lublany Hribar i inni. Wszyscy mówili wśród powszechnego zapału o idei braterstwa słowiańskiego pod sztandarem Sokolstwa Polaków wyróżniano na każdym kroku.

Właściwa uroczystość zlotowa odbyła się w niedzielę. Dzień wzeszedł cudny; na nieskalanym horyzoncie, niezamąconym ani jedną chmurką, zajaśniało w pełni blasków słońce, spływając majestatycznym potokiem światła na chorwacką stolicę, tonącą w powodzi festonów, zieleni i flag o barwach biało-czerwono-niebieskich. Na olbrzymiem boisku obok wystawy gospodarczej odbyły się ćwiczenia, poczem ruszył do miasta majestatyczny powagą, imponujący liczbą pochód, otwarty konnym oddziałem zagrzebskiego Sokoła; dalej wśród jaśniących haftami sztandarów szli naczelnicy sokolstwa, a za nimi nieprzejrzane zastępy sokole, liczące przeszło 10.000 ludzi. Kogo tam nie było w tym pochodzie? Zdało się, że cała Słowiańszczyzna podała sobie ręce i złączona jedną ideą, pod skrzydłami Sokoła, święci jakieś górne, niepowszednie święto. Szli więc Polacy, między nimi kilku z Królestwa, szli Czesi, Słoweńcy, Bułgarzy, Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Czarnogórcy — przepyszna mozaika strojów i typów, wabiąca oko nastrojem niepowszedniości. Na ulicach tłumy publiczności, okna i balkony formalnie zasłane głowami, a w powietrzu tętniało gromkie „Czołem“ i inne okrzyki sokole, piorunnem echem odbijając się od ozdobionych flagami kamienic. Kiedy przechodziły druhinie polskie, nadobne nasze sokolice, z okien i balkonów posypał się na nich grad kwiecia, entuzyazm doszedł do szczytu.



Fot. specyalnie przez redakcyę „Now. Illustr“. na zlot wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.
Zlot Sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu: Lanca, którą imieniem Związku Sokolego polskiego wręczył Chorwatom w upominku prezes Turski.

Majestatyczny ten pochód zatrzymał się przed pawilonem Sztuki, gdzie Sokoli złożyli hołd miastu wobec jego reprezentacyi, tam ustawionej.

Popołudniu odbyły się ćwiczenia na boisku. Zachwyt powszechny wzbudziły ćwiczenia Polaków lancami, a entuzyazm ogarnął wszystkich, gdy prezes Turski imieniem Sokolstwa polskiego wręczył Chorwatom jako upominek lancę.

Zlot, z którego przebiegu zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka zdjęć, zakończył się w poniedziałek, pozostawiając w sercach uczestników niezatarte nigdy wrażenie.

Cesarz w Cieszynie.

Z okazyi manewrów tegorocznych na Śląsku bawił cesarz w Cieszynie przez dni 7. Na powitanie monarchy miasto całe przystroiło się w odświętną szatę. Ulice pokryły się różnobarwnemi flagami, miasto przybrało nowy, odświętny charakter. Najpiękniej jednak udekorowany był „Dom Narodowy“, którego ilustracyę w numerze dzisiejszym podajemy. Polacy, tworzący w Cieszynie większą część ludności miasta, są tu na każdym kroku upośledzani przez Niemców, którzy niepodzielnie dzierżą władzę w mieście. Chcieli oni też, by podczas pobytu cesarza w mieście nie było widać Polaków, by cesarzowi Cieszyn przedstawił się jako miasto o charakterze czysto niemieckim.

Nie udało im się to jednak, tak bowiem podczas przyjazdu jak i pobytu cesarza w mieście, Polacy zaznaczyli właściwy, polski charakter Cieszyna.

Dekoracya „Domu Narodowego“ zwróciła uwagę cesarza i wszystkich przyjezdnych. Była ona wykonana według projektu p. Ferdynanda Dyrmy, urzędnika tutejszego tow. zaliczek i oszczędności. Wszelkie roboty artystyczne prowadził p. Bąkowski. Na samym środku znajdował się śnieżno-biały biust cesarza, odbijający pięknie na tle czerwono-białem w otoczeniu zieleni. Podstawę, na której biust się znajdował, pokryto suknem czarno-żółtym, i ubrano dwoma dzidami, ustawionemi po obu stronach. Nad biustem zwieszał się herb Domu cesarskiego, ognisty lew, z lewej strony herb miasta Cieszyna, z prawej zaś widniał już z daleka piękny biały orzeł, znak nasz narodowy. Niżej nieco po obu stronach biustu na białem polu czerwienił się olbrzymi napis: „Niech żyje“! Wszystko ubrane zielenią, przyozdobione chorągiewkami; z góry powiewały chorągwie, w środku o barwie państwowej po bokach 2 olbrzymie chorągwie polskie, biało-czerwone.

Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradiszczu.

Węgierskie Hradiszcze 9 września.

Tło zjazdu barwne, malownicze. Odbywa on się bowiem wśród ludu morawskiego, który zachował prawie nieskazitelnie swoją samorodność w



Specyalne zdjęcie dla „Now. Illustr.“ V. Bartona w Uh. Hradiste.
Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu: Obraz mistrza Jana Matejki w kościele Cyrylo-Metodyjskim w Welehradzie.



Cesarz w Cieszynie: Dom narodowy w Cieszynie, udekorowany zielenią i flagami o barwach narodowych w dniu przyjazdu cesarza do stolicy Śląska.

prastarych zwyczajach i obyczajach, w strojach narodowych i pieśniach uroczych.

Węgierskie Hradiszcze, leżące o kilka kilometrów od słynnego Welehradu, gdzie wznosi się starosławny kościół apostołów słowiańskich św. Cyryla i Metodego, jest małem miastem, w którem jednak narodowa praca czeska widoczna jest



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.
Przemysł naftowy w Galicyi: Robotnicy kopalni nafty z przedsiębiorcą p. Garfunklem w pośrodku, zebrani przed szybem „Garfunkel“ w Terle koło Chyrowa.

w wielu urządzeniach i okazałych gmachach narodowych. Jest ono też stolicą słowaków morawskich, najliczniejszego plemienia ludowego ziemi morawskiej.

Nie ma więcej jak 6000 ludności. Mimo to posiada wykwintny „Dom narodowy“, gmach kasy oszczędności, banku rolniczego i inne jeszcze. Wychodzą tu aż dwa pisma: „Słowackie Nowiny“, dwa razy wychodzące tygodniowo, i „Nowa Słowacz“ tygodnik, obydwa dobrze redagowane. Redaktor „Nowin“ p. Kretz stoi na czele komitetu dla przyjęcia gości i wywiązuje się dziarsko z zadania.

Zjazd dziennikarzy słowiańskich rozpoczął się uroczystością ludową na rozległym rynku przed *radnicą* (ratuszem), gdzie odbywają się posiedzenia zjazdu. Lud stawił się pokaźnie. Junacy Słowacy barwnie przystrojeni wystąpili na koniach ozdobionych różnokolorowemi wstążkami, wykonując na wielkim rynku przed „radnicą“ na cześć „miłych gości“ słowiańskich korowód starodawnym zwyczajem zwany *jazda krale* (jazda króla) zachowany z pewnością jeszcze z czasów pogańskich. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego i oryginalnego. Szereg jeźdzców z chorągiewkami i lancami nadlatuje na dziarskich rumakach. Jadą szeregiem długim po dwóch, przednia straż, potem „król“ otoczony dwoma adjutantami, za tem drużyna junacka. Król i obydwaj adjutanci przebrani za dziewczęta. Adjutanci trzymają w ręku pałasze.

Po załatwieniu korowodu nastąpiło zagajenie zjazdu w sali radnej ratuszowej.

Wybór prezydyum: Hurban-Wajańsk i poeta słowacki z Świętego Marcina Turczańskiego i redaktor „Narodnich Nowin“. Pierwszym zastępcą prezesa: dr K. Ostaszewski-Barański, redaktor „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, drugim dr Janczikowicz z Osieku, przedstawiciel dziennikarstwa chorwackiego. Udział w zjeździe w roku bieżącym mniejszy aniżeli w poprzednich latach. Nastąpiło to z kilku przyczyn a mianowicie z powodu sporu jaki przed zjazdem był wybuchł w łonie wydziału związkowego. Sekretarz F. Hovorka odczytał sporo telegramów przysłanych na powitanie zjazdu, między którymi burzą oklasków przyjęto mianowicie dwa polskie: jeden od byłego Koła polskiego dumy petersburskiej podpisany przez Alfonsa Parczewskiego i Władysława hr. Tyszkiewicza, drugi od Towarzystwa dziennikarzy i literatów w Poznaniu witający bardzo gorącemi słowy zjazd. Rzeczone towarzystwo nie mogło wziąć w zjeździe udziału z powodu późnego doręczenia zaproszenia. Na kopercie listu zapraszającego znajdował się polski napis „sekretaryat towarzystwa dziennikarzy“, wskutek tych trzech słów polskich powędrował list do pruskiego pocztowego biura tłumaczeń, gdzie go trzymano w kwarantanie przez cały tydzień dla dopisku: »*Sekretariat des Journalistenvereines*“.

Sprawa ta stanowić będzie przedmiot interpelacyi w parlamencie austryackim, gdyż brutalny ten postępek jest jaskrawem naruszeniem **międzynarodowej konwencyi pocztowej**.

Telegram poznański kończy się słowy: „Mimo wszystkie przeszkody sercem i duszą jesteśmy jednak z Wami. Świadomi szczytnej misyi dziennikarstwa w sprawie całej Słowiańszczyzny, a za-



Fotografował specyalnie dla „Now. Illustr“ V. Bartone w Uh Hradiste.
Zjazd słowiańskich dziennikarzy w Węgierskim Hradyszczu: Gędźba słowacka. Od prawej ku lewej siedzą na ziemi: sławny malarz morawski I. Uprka, literat czeski B. Dostal i W. Mrsztik.

tem także w sprawie polskiej przesyłamy siódmemu Zjazdowi dziennikarzy słowiańskich staropolskie: Szczęść Boże!“

W pierwszy dzień zjazdu dało miasto w sali „Besedy“ bankiet na cześć Zjazdu. Wygłaszano mowy we wszystkich niemal językach słowiańskich. Polskim mowcą był dr Ostaszewski-Barański. Ton mów był bez wyjątku ciepły i serdeczny, nastrój podniosły. Wogóle panowała harmonia, niczem nie zakłócona.

Tego samego dnia przedsięwzięto wycieczkę wspólną powozami do pobliskiego starosławnego Welehradu, gdzie podług powszechnego mniemania, miał leżeć stary Welehrad, stolica państwa wielkomorawskiego, apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego. Dzisiejszy Welehrad jest miejscem odpustowem. Posiada wspaniały kościół, którego nawa ma niemniej jak 80 metrów długości. Od lat 18 osiedli w Welehradzie Jezuici. Dawniej był klasztorem Cystersów.

Powitanie w Welehradzie było nad wszelki wyraz okazałe i szczero słowiańskie. Tłumy ludu zalegały drogę przy wjeździe do zabudowania klasztornego, w barwnych i różnorodnych strojach narodowych. Brama tryumfalna, dwie kapele. Gędźba wita nas hymnem : Jeszcze Polska nie zginęła.

Wzruszenie ogólne: tłumów witających i witanych. W niejednem oku błyszczy łza. Przy wejściu do wspaniałej swiątyni cyrylometodejskiej wita nas ks. infułat opat premonstrantów Zavoral w zastępstwie posła ks. Stojana, w ornacie i z infułą na głowie. Jego powitanie równie gorące i szczere. Przemawiają dziękując: Hurban Wojański po słowacku, dr Ostaszewski-Barański po polsku. Wchodzimy do kościoła. Księża i lud intonują pieśń: „Boże, coś Polskę“, działające elektrycznie na polskich uczestników. Spiewamy w chórze. Dopiero później spostrzegamy, że duchowieństwo i lud śpiewają po morawsku — hymn cyrylo-metodejski na nutę naszego hymnu. Oglądamy przepyszne i bogate wnętrze kościoła. Na prawej stronie przy głównym ołtarzu wisi wspaniały obraz Jana Matejki przedstawiający obydwóch apostołów słowiańskich.

Następnie zwiedzamy nadzwyczaj ciekawe muzeum klasztorne, zawierające bardzo bogaty dział etnograficzny i starożytniczy (wykopaliska).

Dziś kończymy obrady. W południe wycieczka do Luhaczowic, pobliskiego miejsca kąpielowego, skąd uczestnicy zjazdu rozjadą się.

G. Smólski.

Przemysł naftowy w Galicyi.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma podaliśmy kilka zdjęć z okolic Chyrowa, w których odkryto większe źródła nafty. Zabrano się energicznie do eksploatacyi źródeł i dziś w kilku miejscowościach, mianowicie w Prinzenthal i w Terle pod Chyrowem wzniosły się już szyby wiertnicze, których liczba dzisiaj już wynosi pięć. Przedsiębiorcami kopalni, które zapowiadają świetne rezultaty, są przeważnie mieszkańcy Prinzenthalu i Terła, koloniści niemieccy.

Przemysł naftowy, który przed laty pięciu stał w Galicyi u szczytu rozwoju, w ostatnich czasach nieco podupadł. Jest nadzieja, że wobec odkrycia nowych źródeł w niewyzyskanej dotąd okolicy, przemysł ten na nowo się podniesie, czegoby sobie w interesie całego kraju szczerze życzyć należało. Borysław jest już dzisiaj u schyłku swojej świetności, może tedy ruch kopalniany przeniesie się znowu do Galicyi zachodniej, w której powstał i rozwinął się.

Na załączonej obok illustracyi przedstawiony jest szyb w Terle, tak zwany „szyb Garfunkiel“ nazwany tak od przedsiębiorcy z Berna, który jest jego właścicielem. W szybie tym natrafiono w głębokości 300 metrów na pokłady ropy, wobec czego rozpoczęto w jego sąsiedztwie budowę czterech nowych szybów.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.
Przemysł naftowy w Galicyi: Szyb „Garfunkel“ w Terle koło Chyrowa, w którym natrafiono na ropę.

Biskup Wałęga w Bochni.

Bochnia gościła w ubiegłym tygodniu w swych murach biskupa tarnowskiego, księdza Wałęgę. Całe miasto wyruszyło na przyjęcie dostojnego go-



Międzynarodowe wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie: Grupa cyklistów i motorzystów wraz z komisyą i sądem. Od prawej ku lewej pp.: 1. Nikodem. 2. Szybowicz. 3. Dzierżewicz. 4. Borzemski. 5. Szopiński. 6. Kaim. 7. Pührer. 8. Pintocher. 9. Holly. 10. Wutte. 11. Butent. Na górze na trybunie prezes klubu p. Szopiński (12) i członkowie sądu Stefan Kossak (13) i dr. Ciesielski (14) (Do artykułu na stronie 20). Fot. dla „Now. Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.

ścia, który przybył dla dokonania wizytacyi biskupiej w powierzonej jego pieczy owczarni.

W miasteczkach Galicyi odwiedziny biskupa są zawsze świętem uroczystem. Dostojników kościoła przyjmuje lud nasz nietylko z otwartemi rękoma, nietylko szczerem sercem, ale ze czcią, należną tym, którzy w hierarchii kościelnej posunęli się na stanowisko tak ważne, że im oddano rządy dusz, powierzono pieczę nad tysiącami wiernych, do Chrystusowej owczarni należących.

I nasz gród solny nie pozostał w tyle za innymi, nie porzucił tradycyi ojców i zwyczaju. Cała droga, którą miał przejeżdżać dostojny książę kościoła, zapełniła się tysiączną publicznością, ożywioną jedną myślą, aby jak najuroczystsze zgotować przyjęcie dostojnemu gościowi. Straż pożarna utrzymywała porządek. Największą uwagę w dekoracyi miasta zwracała z gustem i przepychem urządzona brama tryumfalna, ozdobiona zielenią, festonami i olbrzymim napisem „Salve".



Fot. specyalnie dla „Now. Illustr.". J. Gargul w Bochni.
Biskup Wałęga w Bochni: Tłumy ludności, zgromadzone wzdłuż całej drogi do kościoła, witają przejeżdżającego biskupa, którego powóz widać właśnie na środku ulicy.

W uzupełnieniu artykuliku zamieszczamy obok dwie fotografie, odnoszące się do pobytu księdza biskupa w Bochni, a zdjęte specyalnie dla redakcyi „Now. Illustrowanych". Na jednej illustracyi widać główną ulicę w Bochni, zapełnioną tłumami publiczności podczas przejazdu ks. biskupa, którego powóz widać na środku ulicy, na drugiej zaś widok bramy tryumfalnej na cześć ks. biskupa wzniesionej.

Zjazd urzędników Rad powiatowych.

Istniejąca od czasów ery konstytucyjnej instytucya Rad powiatowych w naszym kraju rozwija się coraz bardziej, a działalność ich obejmuje coraz szersze kręgi. Budżety wszystkich Rad powiatowych w kraju wynoszą przeszło 25 milionów kor., obroty kas pożyczkowych oraz kas oszczędności powiatowych idą także w miliony; pod opieką Rad powiatowych pozostaje 50 000 klm dróg, na które wydatki wynoszą rocznie 3.800 000 kor. Ogółem kontrolują Rady powiatowe majątek 170 milionów koron.

Oczywista rzecz, że z tym rozwojem instytucyi poszło równomiernie zwiększenie się agend jej funkcyonaryuszów, musiała się zwiększyć ich liczba, a i obowiązki ich rosną coraz bardziej. Wobec tego przygotowuje Wydział krajowy na najbliższą sesyę sejmową projekt ustawy o stosunku służbowym urzędników Rad powiatowych. Urzędnicy ci zaś, chcąc w tej sprawie zająć jakieś stanowisko, chcąc wypowiedzieć swe postulaty, zwołali z inicyatywy p. Edmunda Górskiego z Grybowa, zjazd do Lwowa; zjazd ten odbył się w ubiegłą niedzielę.

Przed rozpoczęciem obrad zebrali się uczestnicy zjazdu w kościele OO. Bernardynów, a stamtąd po wysłuchaniu nabożeństwa udali się do sali lwowskiej Rady powiatowej. Zjazd zagaił jego inicyator p. Górski, poczem do prezydyum wybrano sekretarza lwowskiej Rady powiatowej, posła Teofila Merunowicza, oraz p. Górskiego. Przez cały dzień następnie, z przerwą w porze obiadowej, obradował zjazd nad sprawą, postawioną na porządku dziennym, a rezultatem tych obrad jest rezolucya, w której zebrani na zjeździe sprzeciwiają się ukrajowieniu urzędników Rad powiatowych, żądają wydania noweli do ustawy o reprezentacyi powiatowej, określającej teoretycznie i praktycznie kwalifikacye dla kandydatów na urzędników Rad powiatowych, unormowania płac, utworzenia emerytury i zaopatrzenia wdów i sierót po urzędnikach, pragmatyki służbowej itd. Celem urzeczywistnienia tych uchwał, wybrał zjazd komisyę wykonawczą, polecając jej jako środki petycye, memoryały itp.

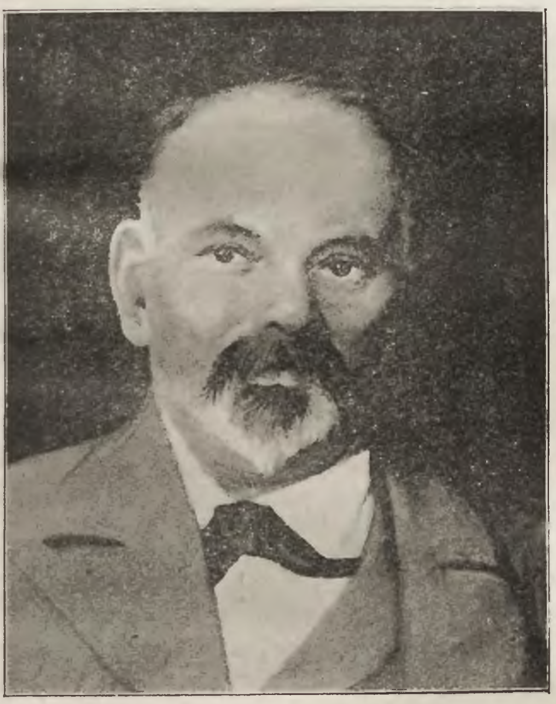


Fot. dla „Now. Illustrowanych" Marek Münz we Lwowie.
Zjazd urzędników Rad powiatowych: Grupa uczestników zjazdu z posłem Merunowiczem, przewodniczącym zjazdu (1), i p. Górskim, prezesem zjazdu (2) pośrodku.

Nadto poruczono tej komisyi zredagowanie odpowiednich wniosków w sprawie organizacyi zawodowej urzędników Rad powiatowych i przedłożenie ich najbliższemu zjazdowi. Poruszono też rozmaite inne, żywo tę sferę urzędników obchodzące sprawy, poczem obrady zamknięto.

Przebieg zjazdu był bardzo poważny i spokojny. Życzymy z naszej strony pożytecznym tym pracownikom autonomicznym, by ich słuszne życzenia w najbliższym czasie doczekały się urzeczywistnienia.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy grupę uczestników zjazdu, z posłem Merunowiczem (1), przewodniczącym zjazdu i p. Górskim (2), inicyatorem zjazdu, w pośrodku.



Zgon zasłużonego historyka: Aleksander Rembowski, wybitny prawnik i historyk, zmarły w niedzielę w Warszawie.

Zgon zasłużonego historyka.

W niedzielę wieczór zmarł w Warszawie znany prawnik i historyk, Aleksander Rembowski.

Urodzony w roku 1847 w Klonowie (w Kaliskiem), Rembowski do r. 1869 studyował prawo w Warszawie, skąd wyszedł jako ostatni magister Szkoły Głównej. Następnie wstąpił na uniwersytet heidelberski, w którym przebywał do r. 1872. Przez długi czas Rembowski zajmował stanowisko kustosza biblioteki Krasińskich w Warszawie. W r. 1895 otrzymał tytuł członka Akademii Umiejętności krakowskiej.

Rembowski, którego portret zamieszczamy obok, zasłynął jako sumienny badacz wszelkich planów reformy i pomysłów politycznych w dawnej Polsce, oraz rozmaitych stron dawnego ustroju państwowego. Studya jego miały specyalną wartość przez to, że zmarły obznajmiony był gruntownie z literaturą obcą i z dziejami postronnemi. Od wielu lat przeglądał sumiennie wszystkie ważniejsze prace z historyi ojczystej w „Bibliotece Warszawskiej“ i w „Kuryerze Warszawskim“. Przez pewien czas Rembowski prowadził dział polityczny w „Gazecie Polskiej“. Świetny znawca dziejów konstytucyjnych, Rembowski był zawsze badaczem objektywnym, powstrzymującym się najczęściej od sądów osobistych.



Fot. specyalnie dla „Now. Illustr.“ J. Gargul w Bochni.

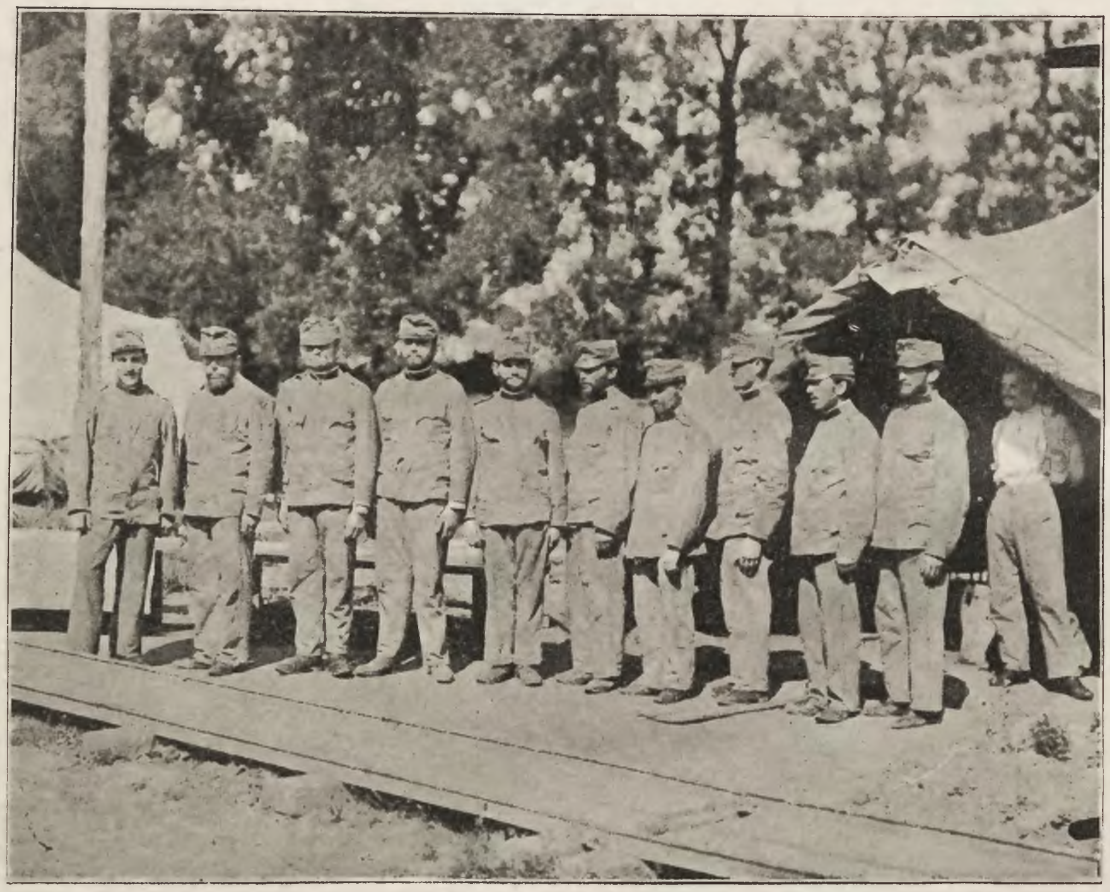
Biskup Wałęga w Bochni: Brama tryumfalna, wzniesiona na uroczyste przyjęcie księdza biskupa Wałęgi, który w piątek ubiegły przyjechał do Bochni dla dokonania wizytacyi kanonicznej.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.

Ćwiczenia wojskowe w Przemyskiem: Oddział artyleryi górskiej, z kilku armatami, umieszczonemi na grzbietach koni, podczas wypoczynku w ćwiczeniach koło Przemyśla.

W roku 1900 poczęły wychodzić ogólne pisma Rembowskiego. Są to świetne rozprawy z zakresu ekonomii politycznej i historyi prawa.

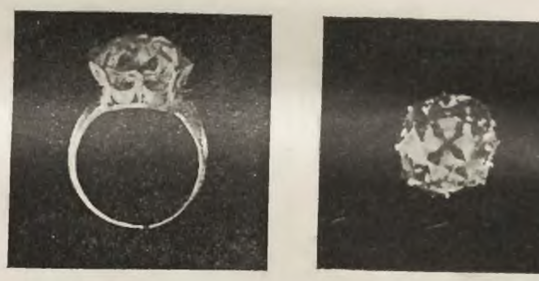


Fot. dla „Now. Illustr.“ M. Todt w Przemyślu.
Ćwiczenia wojskowe w Przemyskiem: Grupa żydów z pułku kolejowego i telegraficznego, który ćwiczenia odbywał w tym roku w okolicy Przemyśla. Zdjęcie dokonane podczas tak zw. „Rastu“.

Zniknięcie niebieskiego dyamentu.

Dzienniki paryskie donoszą, że w pobliżu Brestu aresztowano pod zarzutem kradzieży wartościowego pierścionka, p. Gregera, podającego się za rosyjskiego radcę stanu i członka ambasady rosyjskiej. Osobistość p. Gregera była znana w kołach towarzystwa rosyjskiego w Paryżu. Obecnie obwinili go o kradzież hrabia i hrabina Rodellec, których był gościem. Hrabina Rodellec poznała Gregera przed piętnastu laty w Paryżu. Na to lato pp. Greger zostali przez nią zaproszeni na wieś dla spędzenia tam wakacyj i bawili w zamku już od miesiąca. Pewnego dnia Greger wyraził swój zachwyt dla pierścionka, jaki miała hrabina na palcu. Uprzejma gospodyni opowiedziała mu historyę tego klejnotu. Pierścionek miał dyament niebieski, który zdobił kiedyś koronę Ludwika Filipa. Później stał się własnością księcia d'Aumale, który zrobił z niego podarunek znakomitej artystce Leonii Leblanc Po jej śmierci pierścionek z tym dyamentem został sprzedany na licytacyi i hrabina nabyła go za 50.000 fr. Dnia 2 sierpnia po obiedzie hr. Rodellec zdjęła swe pierścionki przed grą na fortepianie i położywszy je na stoliczku, zapomniała o nich. Nazajutrz stwierdzono zniknięcie cennego klejnotu. Nastąpiło wielkie poruszenie w domu, badanie służby, a wreszcie zawezwanie komisarza policyi. Po przeprowadzeniu dokładnego śledztwa, komisarz zdecydował się na pociągnięcie do śledztwa oburzonego p. Gregera. Przeszukanie rzeczy Gregera doprowadziło go do celu, albowiem pierścionek znaleziono w kryształowym flakonie w proszku do zębów. Greger nie zdetonował się zupełnie i zauważył, że pierścionek dostał się tam bez jego wiedzy. Komisarz odstawił obwinionego do sądu w Breście, gdzie Greger przed sędzią śledczym zaprzeczał wszystkim dowodom winy.

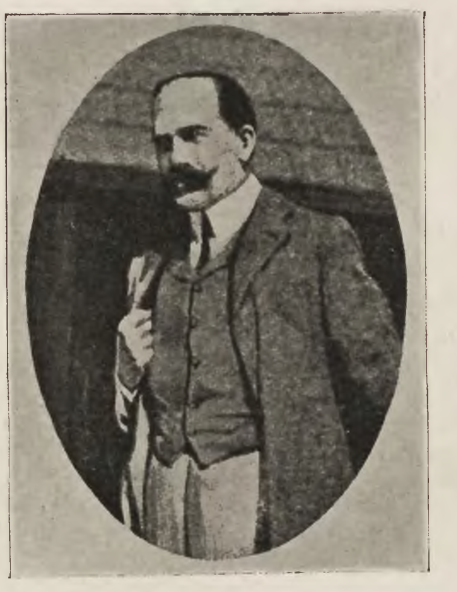
Greger broni się ciągle i utrzymuje, że ów wartościowy bardzo pierścionek, znaleziony w jego flakonie z proszkiem do zębów, musiał być tam przez kogoś podrzucony. Za sprawcę podrzucenia uważa Greger samego hr. Rodelleca i twierdzi, że zrobił to przez zemstę, ponieważ Greger radził hrabinie, aby podała hrabiego badaniom lekarskim, jako nienormalnego umysłowo. Rozmowę z Gregerem hrabina powtórzyła hrabiemu i to miało być przyczyną gniewu i zemsty. Hr. Rodellec nie mało zdziwił się, usłyszawszy o tem zeznaniu Gregera i zapewnia, że jest to prosty wymysł obwinionego. Gdyby się dowiedział o podobnych radach, dawanych hrabinie, nie scierpiałby Gregera ani chwili pod swoim dachem. Greger w chwili aresztowania odezwał się do swojej żony: „Nie mówiłem ci, że hrabia mścić się będzie“? Otóż hrabia bardzo trafnie zauważył, że gdyby żona obwinionego była pewna niewinności męża, czyżby mogła, jak to miało miejsce, zostać jeszcze całą dobę po aresztowaniu męża w gościnie u człowieka, który męża obwinił o kradzież i kazał go aresztować? Zdaniem hrabiego, Greger jest obłudnikiem i komedyantem, ponieważ, okazując przedtem wszystko, tylko nie pobożność, po aresztowaniu słucha codzień mszy i modli się o wykrycie prawdy i oczyszczenie go z podejrzenia, podczas, gdy niewiadomo nawet, czy jest katolikiem. Hrabina Rodellec w swoich zeznaniach twierdzi, że nigdy nie prowadziła z Gregerem rozmowy o usposobieniu i umysłowości hrabiego, a więc nie mogła jej powtórzyć mężowi. Hrabina jest oburzoną na Gregera tembardziej, że gdy uległa początkowo jego prośbom i cofnęła swą skargę, by go nie kompromitować, Greger zaczął twierdzić, że chciano zabawić się nim w pałacu i odegrano niesmaczną farsę.



Zniknięcie niebieskiego dyamentu: Kosztowny pierścień, skradziony hrabinie Rodellec; obok ozdoba pierścienia, wielki dyament niebieski.



Zniknięcie niebieskiego dyamentu: Hrabina Rodellec du Porziv, właścicielka zaginionego niebieskiego dyamentu.



Zniknięcie niebieskiego dyamentu: Aleks. Greger, na którego padło podejrzenie o kradzież pamiątkowego dyamentu.

Najmłodszy Hohenzollern.

Z pruską iście, systematyczną dokładnością wywiązała się ze swego macierzyńskiego powołania żona niemieckiego następcy tronu, gdyż w niespełna w rok po ślubie obdarzyła już swego męża synem, a cesarza Wilhelma wnukiem.

Najmłodszy Hohenzollern, którego pierwszą fotografię wraz z rodzicami podajemy na załączonej obok illustracyi, przyszedł na świat w chwili, gdy nad państwem niemieckiem zawisły ciężkie chmury, kiedy wielkoświatowa polityka Wilhelma II wzięła



Najmłodszy Hohenzollern: Pruski następca tronu wraz z żoną i synem, którego chrzest odbył się 29 sierpnia b. r.

w łeb na całej linii, bo niedługo po konferencyi w Algeciras, która tak dowodnie wykazała bankructwo krzyżackiej polityki Wilhelma II. Najniebezpieczniejszym tej polityki przeciwnikiem był król Edward VII, który aczkolwiek blisko spokrewniony z Wilhelmem, z jakąś zapamiętałą zaciekłością i upodobaniem, na każdym kroku podstawiał siostrzeńcowi nogę, a mógł to robić tem skuteczniej, że o całe niebo przerasta Wilhelma II zdolnościami dyplomatycznemi.

Narodziny wnuka cesarskiego przyjęto więc w całem państwie z radością, bo odrazu zaczęły się pojawiać wieści, że chrzestnym ojcem najmłodszego Hohenzollerna ma być — Edward VII. W ten sposób Niemcy zjednałyby sobie najzaciętszego wroga, więc też w głowach polityków już przy kołysce księcia snuły się promienne myśli o wzajemnej zgodzie i życzliwości dwóch potężnych, a nienawidzących się narodów. Liczono głównie na to, że król angielski nie może przecie odmówić tak familiarnej prośbie swego siostrzeńca i na tem budowano najśmielsze nadzieje.

Król Edward VII zbyt jednak wielkim jest dyplomatą, ażeby się zręcznie z przykrej dla siebie sytuacyi nie wywikłać. Odmówić prośbie nie mógł, ze względów prostej grzeczności, ale też urządził się tak, że Niemcom strasznie zrzedła mina. Przyjął prośbę, przyrzekł trzymać do chrztu wnuka Wilhelma II, ale zrobił to tak, iż do zamiany swojej dotychczasowej polityki dyplomatycznej nie czuł się zobowiązanym. Najlepszym tego dowodem fakt, że nie przyjechał sam na tę tak bądźcobądź na dworze berlińskim ważną uroczystość, ale trzymał najmłodszego Hohenzollerna do chrztu „per procura", tj. przez zastępcę.

Chrzest wnuka cesarza Wilhelma odbył się 29 sierpnia br. w pałacu poczdamskim. Młodemu księciu nadano imiona: Wilhelm, Fryderyk, Franciszek, Józef, Chrystyan, Olaf.

Park w Poczdamie wypełniły przed godziną 6 wieczorem tłumy publiczności. Wszystkie powozy dworskie były w ustawicznym ruchu. Przed samą godziną 6 zwarły się zastępy straży; przed portal pałacu zajechało 100 przeszło karoc. Służba dworska utrzymywała porządek pod wodzą wspaniale przybranego koniuszego. Para cesarska i następca tronu przyjechali ostatni. W otoczeniu adjutantów i dam pałacowych przywieziono także najmłodszego Hohenzollerna, w galowej karocy, ciągnionej przez sześć rumaków w złocistej uprzęży.

Najbliższe otoczenie monarchy zebrało się w sali przyjęć tak zwanego Nowego Pałacu, tj. przedstawiciele dworów, najwybitniejsi dyplomaci zagraniczni i członkowie gabinetu. Galeryą jaspisową zamieniono na kaplicę, ustawiając pod bogatym baldachimem ołtarz z wizerunkiem Ukrzyżowanego. Po obu stronach stanął korpus paziów dworskich, a w półkole rodzina i goście. Po dłuższej przemowie kaznodziei dra Dryandera, odbył się właściwy ceremoniał chrzcin, zakończony ucztą, podaną w sali marmurowej, wśród zwykłego na dworze Wilhelma II przepychu.

Brakowało tam jednak gościa, którego Wilhelm II najchętniej byłby u siebie na dworze widział, brakowało — właściwego ojca chrzestnego. Zastępca nie zastąpił go w zupełności.

„Mateczka".

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

23 (Ciąg dalszy).

Byłby był waryat swoją pochodnią wypalił niechybnie oczy Felicyi, gdyby nie traf szczęśliwy, że naraz między nią a niego pędem wjechały sanie dworskie, u których konie na widok wielkiego pożaru tak się przestraszyły, że całą uprząż na strzępy poszarpały, wydzierając się i dęba stając, niby przed wilkami.

Tej jeno okoliczności, że zamiast zajechać przed ganek płonącego folwarku, rzuciły się gwałtownie w bok od ognia rumaki nieokiełznane i poniosły na ogród — zawdzięczała Felicya swoje ocalenie. Sanie wpadły w samą porę jeszcze, zanim płonąca pochodnia w rękach szaleńca dosięgła jej twarzy.

W przerażeniu pod wpływem groźnego a niespodziewanego niebezpieczeństwa zdążyła w tył odskoczyć, a tymczasem wypadła księdzu z ręki głownia płonąca, poparzywszy w głowę jednego konia. Ten dęba stanął, poczem skoczył przed siebie, raz jeszcze targnąwszy saniami, które zdławiły ogień pochodni, ale i waryata w śnieg powaliły.

O jakie dziesięć kroków dalej wpadły konie na wysoki płot ogrodu folwarcznego i tu przystanęły, przewróciwszy jednocześnie sanie.

Wypadł z nich pod parkan dziedzic, który już w pierwszej chwili, gdy konie spłoszone ogniem, ponosić zaledwie zaczęły, chciał wyskoczyć, ale mu się w czemś nogi poplątały, więc spostrzegłszy się, iż mu się myśl ta nie uda, używał jedynie wszelkich sił, by koni samopas nie puścić. Już ich jednak nie zdołał poprowadzić. Gdy konie stanęły nareszcie, legł dziedzic pod płotem w śniegu.

O własnych siłach nie potrafił dźwignąć się zaraz z miejsca, lubo szwanku nie poniósł żadnego, dzięki ogromnym szopom niedźwiedzim, w jakich przyjechał, a po których właśnie poznała go wśród nocy żona, gdy uwożona przez Wosinka, minęła się w drodze z dworskiemi sankami.

Ku zdziwieniu nadbiegającej siostry Felicyi, pomagał wstać dziedzicowi z kupy śniegu pod parkanem ogrodowym — nie kto inny, jak Moszko, który się nagle odnalazł.

Pierwszem słowem dziedzica było pytanie pełne trwogi:

— Moja żona?

Ale żyd, dźwigając go, pośpieszył z uspokajającą informacyą, iż pani dziedziczki nie było już na folwarku przed wybuchem pożaru.

— Gdzie się podziała?

— Jaśnie pani pojechała sobie do Chocimskich...

Pan Edward, który dojeżdżając w blaskach łuny pożaru do swego folwarku, oddał się całkowicie tej myśli, że nocny ogień w domu zaskoczył może w łóżku matkę jego dzieci, doznał tak bolesnego uczucia mimo wszystko, co między nim a jego żoną zaszło w ostatnim czasie z powodu Felicyi — że teraz uspokojony zupełnie przez Moszka, odetchnął z taką ulgą, jak gdyby mu powiedziano, że to nie jego folwark zgorzał.

Wstawszy z ziemi, załamał jednak ręce na widok strasznego zniszczenia. O ratunku dopalającego się doszczętnie dobytku ani myśleć nawet nie można było.

Więc dziedzic nie mając się kim wyręczyć, zbliżył się sam do koni, żeby je uwolnić od strzępów potarganej uprzęży, w którą się poplątały, zarywszy w płot z saniami. Poczem wyprowadził je przez ogród daleko od ognia, w miejsce bezpieczne, gdzie uwiązał konie u drzewa.

Powrócił w porę na dziedziniec, żeby po raz wtóry ocalić siostrę Felicyę od napaści waryata.

Ten zerwawszy się ze śniegu, gdy go sanie przewróciły, pobiegł przed ganek, gdzie właśnie z trzaskiem runęły wiązania dachu. Porwał jednym chwytem z ziemi, ze zdumiewającą u niego siłą, belkę płonącą i oburącz niosąc ją, poszedł powoli w kąt podwórza, gdzie tercyarka rozmawiała nad przewróconemi sankami z żydem.

Kiedy dym bliski schwycił ją za gardło, obejrzała się nagle Felicya i tuż przy sobie spostrzegła nową, groźniejszą pochodnię w ręku księdza, ku niej zmierzającego. Uciekać chciała, ale miała przed sobą zaporę z wysokiego płotu, więc z przewalonego siedzenia na dworskich saniach pochwyciła derkę grubą i nią zasłaniając się przed ogniem, przebiegła bokiem tuż koło waryata, żeby wydostać się na obszerniejszą część dziedzińca.

Ale się za nią obrócił szaleniec wraz ze swą belką, strzelającą iskrami. Końcem ognistej kłody nagle uderzył w derkę, którą się Felicya zasłaniała, aż kobiecie osmolił twarz. Ta wszakże nie tracąc jeszcze głowy, schyliła się po wytrąconą jej z rąk derę i nią śpiesznie owinęła płonący koniec belki, zanim ksiądz zdołał temu przeszkodzić.

Złość na to porwała waryata. Upuścił na ziemię ciężką kłodę, z którą mu i tak trudno było dawać sobie radę, poskoczył o kilka kroków dalej, podjął lekką i niedługą głownię i puścił się w pogoń po podwórzu za Felicyą.

— Czarownico opętana — darł się w niebogłosy — nie ucieczesz przed ognistą karą ojca Antychrysta! Żywcem oczy wypalę ci żagwią.

Dopadł jej właśnie. Ale w tejże samej chwili pan Edward, który wracając z ogrodu, zobaczył, co się święci — i już gonił go zręcznie, zdjąwszy z siebie szybko ciężkie futro, teraz z tyłu zarzucił na głowę waryata swoje szopy niedźwiedzie, powalił go na ziemię, przygniótł kolanami i jął nawoływać parobków z folwarcznej czeladzi.

Stali oni na uboczu, nie ratując płonącego dobytku, w pierwszej chwili tylko wyprowadziwszy z obór bydło z trudem, gdy już ogień harcował po dachach stajennych. Teraz widząc gonitwę waryata za tercyarką, gapili się dalej, nie ruszając z miejsca. Dopiero na wołanie dziedzica dwóch z czeladzi poskoczyło w te pędy do niego. Pan Edward kazał im sznury przynieść żywo ze swych sani, a kiedy je rozplątali, wstał dopiero, dotąd bowiem na klęczkach przygniatał do ziemi szaleńca, starającego się oswobodzić za wszelką cenę.

— Wiązać go! — krzyknął dziedzic, podnosząc uważnie ogromne futro, pod które rzucili się dwaj parobcy i długo szamocąc się z księdzem Janem, zdołali go przecież ubezwładnić i powrozami skrępować.

Na folwarku wkrótce spłonęło wszystko, co zgorzeć miało.

Około południa, gdy po ustaniu zamieci śnieżnej, słońce z pogodnego nieba rozsypywało wokół skry brylantowe na zmarzłe opony śnieżne, przybył pan Edward z siostrą Felicyą i faktorem Moszkiem do najbliższego miasteczka.

Tu po obiedzie w zajeździe, korzystając z przygnębienia, w jakiem dziedzic się znalazł po utracie jednego ze swych folwarków, podsunęła mu Felicya po raz pierwszy dopiero plan, knuty już od pewnego czasu z pomocą usłużnego Moszka.

— Co... Niemcowi sprzedać majątek rodzinny! — krzyknął pełen oburzenia obywatel. — Nigdy!

Perswazye tercyarki nie pomagały. Dziedzic nie chciał o tem słyszeć, mimo stu pobożnych pobudek, jakie mu podsuwała siostra.

— Dobrze, ale czemuż Niemcowi — wołał zrozpaczony ziemianin.

Wówczas oddała go Felicya w ręce wymownego Moszka, który z panem Edwardem konferował znów z kolei parę godzin, by go przekonać o nieodzownej konieczności pozbycia się majątku i skorzystania ze świetnej sposobności — jaka drugi raz się nie nadarzy nigdy. Ale dziedzic się zawziął i skończył konferencyę wyrzuceniem faktora za drzwi. Mimo to w sekrecie przed Edwardem, udała się Felicya niezwłocznie z Moszkiem do owego Niemca, który miał ochotę nabyć ogromny majątek pana K...

Odjeżdżano wprawdzie z niczem z miasteczka nazajutrz, ale Felicya mimo to kazała za dwa dni zjawić się Moszkowi w S... i mieć Niemca we własnej osobie w pogotowiu w pobliżu.

Przez cały czas podróży nie traciła ani chwili na darmo, używając wszelkich środków, co trochę z innej beczki, byle nawałą argumentów skruszyć opór dziedzica.

Po powrocie do domu, gdzie nie zastali Tekluni, a tylko głucha wieść chodziła po dworze, jako że pani dziedziczka prawie konająca wezwała do siebie starą klucznicę — poszła siostra Felicya w towarzystwie pana Edwarda odmawiać różaniec wspólnie przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, w zamienionym przez nią niedawno na kaplicę dawnym salonie dla przyjmowania gości.

— Zresztą Jej się spytajmy o radę ostateczną — zaproponowała siostra po skończeniu różańca, wskazując na obraz. — Módl się, bracie, gorąco...

— Sprzedam, ale Niemcowi nie oddam nigdy — raz jeszcze spróbował dziedzic buntować się.

— Zamilcz a módl się... Ona ci poradzi najlepiej...

I zatopili się oboje w modlitwie, która trwała tak długo, że od niej omdlewał już prawie z umęczenia pan Edward.

— Matko Przenajświętsza — odezwała się wreszcie grobowym tonem siostra Felicya, podnosząc twarz na obraz — żali wolno bratu pójść za moją radą pobożną?

Dziedzic zdrętwiał. Nastała chwila ciszy ponurej. Poczem siostra szarpnęła Edwarda za ramię, szepcząc w ekstazie ascetycznej:

— Patrz.... patrz tylko.... widzisz? Matka Boska na moje pytanie kiwnęła mi głową z obrazu łaskawie.... widzisz, bracie... pozwala.... jeszcze głową porusza potakująco, jakgdyby mówiła, żeś mnie radź słuchać powinien.... no, widzisz bracie...

— Stań się wola Twoja — szepnęły blade usta dziedzica, który powoli z klęczek zsunął się na podłogę i omdlał, zimnym potem oblany....

Koniec części pierwszej.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie.

Ruchliwy i coraz szerszą zyskujący popularność lwowski klub młodzieży cyklistów urządził w zeszłym tygodniu w sobotę 8 i niedzielę 9 b. m. dwudniowe międzynarodowe wyścigi cyklistów i motorów na swoim znakomitym torze obok rogatki stryjskiej. Wyścigi te, najpiękniejsze i najbardziej interesujące ze wszystkich, jakie kiedykolwiek we Lwowie się odbyły, ściągnęły na tor klubu w oba dni nieprzejrzane tłumy publiczności, która żywo śledziła wszystkie biegi. I gdyby nie straszny wypadek, jaki zaszedł w pierwszym dniu wyścigów, a którego ofiarą padli dwaj młodzi studenci, odnosząc wskutek wjechania motoru w pierwszy szereg publiczności, złamanie nóg i liczne obrażenia, mógłby klub młodzieży cyklistów być z tego meetingu najzupełniej zadowolony.

Do uświetnienia wyścigów przyczynił się współudział znakomitych jeźdźców, przybyłych z poza granic Galicyi. Byli między nimi sympatyczni Warszawiacy pp. Dzierżewicz (motorzysta) i Kaim (cyklista, mistrz Królestwa Polskiego w jeździe na długi dystans), byli Wiedeńczycy, Pührer i Holly, którzy odnieśli zwycięstwo w ostatnich wyścigach olimpijskich, był mistrz Czech, cyklista p. Vratny, a przedewszystkiem światowej sławy motorzysta Nikodem z Gracu, który w wyścigach Gordon-Benneta pobił Niemców, Francuzów i Anglików. Do zawodów z nimi stanęli lwowscy cykliści z p. Pintscherem na czele, oraz znany motorzysta p. Szybowicz, współpracownik firmy W. Tranda w Przemyślu.

Rezultat ogólny wyścigów jest dla naszych jeźdźców zupełnie zadowalający. Lwowski cyklista p. Pintscher okazał się godnym współzawodnikiem takiego mistrza, jak p. Pührer z Wiednia, mimo, iż ten ostatni jest od niego starszy wiekiem i znacznie dłużej bierze udział w wyścigach, a znacznie lepszym od drugiego Wiedeńczyka Wuttega lub Czecha Vratnego, których bił z łatwością. Warszawianin p. Kaim odniósł wspaniałe zwycięstwo nad „Olimpijczykiem“ Hollym, pozostawiając go w biegu na długą metę (10 klm) o pół okrążenia w tyle. Wreszcie p. Szybowicz z Przemyśla dorównał swą wspaniałą, brawurową jazdą na motorze zawodowemu motorzyście p. Nikodemowi, przychodząc w dwu biegach prawie równocześnie z nim do mety, a z łatwością pokonał drugiego zawodowca i jeźdźcę fabrycznego od Pucha, Müllera z Norymbergii.

Biegów ogółem było 14, w tem trzy motorów. Wszystkie były interesujące, a niektóre nadzwyczaj piękne. Do takich należały przedewszystkiem zawody motorów i denerwująca, szalona jazda pp. Nikodema i Szybowicza, dalej wyścig na rowerach z prowadzeniem motorów na przestrzeni 10 klm., tj. 25 okrążeń toru, który to wyścig przyniósł zwycięstwo Warszawianinowi p. Kaimowi, a wreszcie wyścig o „mistrzowstwo“ toru lwowskiego klubu młodzieży cyklistów. „Mistrzowstwo“ to przeszło po raz pierwszy w ręce obcego jeźdzcy, mianowicie p. Pührera z Wiednia, który pokonał po zaciętej walce Lwowianina i dotychczasowego „mistrza“ p. Pintschera. Bardzo pięknym był także bieg o przodownictwo, czyli jazda na punkty. Zwyciężył tu p. Pintscher, bijąc Wiedeńczyków i Czecha, i okazując ogromną wytrwałość i siłę.

Ćwiczenia wojskowe w Przemyślu.

Tego roku odbywały się w Przemyskiem w obrębie 10 korpusu ćwiczenia pułku kolejowego i telegraficznego. Dotychczas ćwiczenia te odbywały się zawsze w Austryi Dolnej w okolicy Korneuburga, gdzie pułk ten stale garnizonuje. Ćwiczenia wypadły znakomicie, stwierdzając doskonałą sprawność pułku.

Rzecz charakterystyczna, że w pułku tym jest stosunkowo dosyć dużo żydów. Fotografi nasz w Przemyślu zdjął całą grupę żydów, w pułku tym służących, w chwili, kiedy po znojnych ćwiczeniach nastąpił tak zwany „Rast“ — wypoczynek. Ciekawą tą grupę, oryginalną przez to właśnie, że przedstawia tylu razem zebranych żydów w służbie wojskowej, zamieszczamy na załączonej dziś rycinie.

Równocześnie z ćwiczeniami pułku kolejowego odbyły się ćwiczenia części artyleryi górskiej, które dotyczas odbywały się stale w Bośni. Obecnie urządzone są w przemyskiem, głównie dla wypróbowania wytrwałości rodzimych koni galicyjskich. Oddział pod komendą nadporucznika Högera z 10 pułku artyleryi korp. brał również udział w manewrach 10 korpusu, odbywających się w okolicach Dynowa. Okazało się, że konie galicyjskie są conajmniej równie tak wytrzymałe, jak używane w Bośni do podobnych ćwiczeń muły, gdyż z łatwością dźwigały ciężar blisko 500 kilowy, tyle bowiem waży rozkładane działo górskie.

Z ćwiczeń tych zamieszczamy dzisiaj również illustracyę.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza, druga, także *szósta*,
Toż to urojona rzecz,
A że *trzecie z piątą* przykre,
O tem, człecze, dobrze wiesz.
Czwarta z piątą drogę kreślą,
Hen, w dalek, obcy świat —
W rzekach macie *pierwsze piąte*,
Zginął, kto w nie nagle wpadł.
Piąte-drugie, toż to miary,
Które każdy dobrze zna;
Pierwsze-szóste-piąte — liczne,
Człowiek jednak jedną ma,
Już zakończam z tym dodatkiem,
Że *ostatnia z piątą* — miarą.
Radząc przytem, byś w słabości
Całość-lek — używał z wiarą.

II.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

Cała ta szarada
Z trzech liter się składa,
Jest więc łatwą i niedługą.
Bo wspak *pierwszą-drugą*
A wprost *trzecią* p'ze ie,
Znajdziesz w każdym alfabecie.
Całość starożytny uczony,
Dziś jeszcze znany i czczony.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

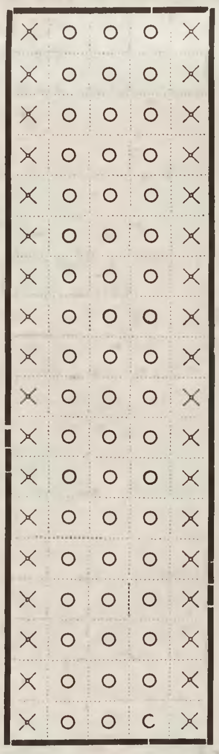
Podane słowa tak poprzestawiać, aby ich *drugie* i *piąte* litery utworzyły nazwiska 6 poetów polskich.

Słowa są następujące:

Apolonia, dynamit, ej i król, kareta, kosztorys, Leszek, oszpecić, oleander, ołtarz, Ostrawa, parawan, porcelana, przejazd, Scipio, skazaniec, skracać, swawola, Śniatyń, wieczko.

Zagadka.

Ułożył A. Pfeiffer, Przemyśl.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię, nazwisko i pseudonim literacki znanej polskiej pisarki.

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny pop w Rosyi. 2. Łacińskie słowo, znaczące: od początku. 3. Kanclerz pruski. 4. Zagadka figurowa. 5. Ostatnia litera w alfabecie. 6 Inaczej przewodnictwo. 7. Służący 8. Bożek egipski z głową byka — i samogłoska. 9. Inaczej zabronienie. 10. Papiery wartościowe. 11. Imię męskie wspak. 12 Inaczej bezmiar. 13 Imię żeńskie 14. Srodek lekarski (kwiat). 15. Żołnierz rosyjski. 16. Inaczej wezwanie. 17. Imię męskie. 18. Imię męskie.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy należy utworzyć: a, a. a ab, ak, bus, bü, cy, da, dolf. e. e, fi, ga, gi, grek, grom, jó, kaj, kar. ko, łąu, lip, lo, low, nes, o, o, ó, pis, pon, ra, re, se, vo, wi, za, zak, zef, zo, y.

Logogryf.

Ułożył Bojcio.

Ze zgłosek: ce, cki, co, cze, do, do, dy, dye, gło, go, i, i, in, in, ja, ko, ko, kób, ki, ku, la, le, łów, ły, ma, min, na, niw, o, ob, ok, ra, ro, ryk, ru, sy, to, tor, u, we, wiec. wil, wicz, win, wa, zak, zwą — ułożyć 15 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, a końcowe, w tymsamym czytane kierunku, tytuł jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina trująca. 2. Dwa imiona starozakonne, połączone spójnikiem. 3. Opiekun Kościoła. 4. Nawóz sztuczny. 5. Jeden z pierwszych poetów serbskich. 6. Imię książąt ruskich. 7. Głośny pisarz polski. 8. Pierwiastek chemiczny. 9. Poemat. 10. Wieś obok Brodów. 11 Zwierzęta, żyjące w południowej Ameryce. 12. Roślina w strefie gorącej. 13. Podróżnik angielski, 14. Osada w gubernii kieleckiej. 15. Kraj w Azyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort orzechowy** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Zagadka syllabowa.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Z liter:

		a,	a,	a.		
		a,	a,	e,		
c,	g,	i,	i,	i.	m,	n,
i.	k,	k,	k,	l,	n,	n,
n,	o,	o,	o,	o,	o,	p,
		r,	s,	s,		
		t,	t	w,		

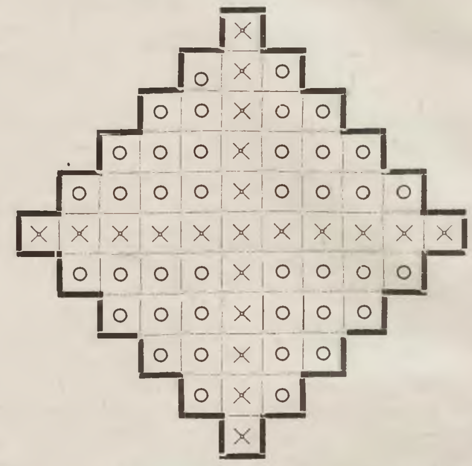
ułożyć 6 słów o znaczeniu następującem:

Rząd pionowy: 1. Słowo znane w buchalteryi. 2. Instrument muzyczny. 3. Zdrobniałe imię męskie.

Rząd poziomy: 1. Potrawa. 2. Robaki. 3. Kwiat.

Kryptogryf.

Ułożył M. Pfeiffer, Przemyśl.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w poziomym i pionowym kierunku, utworzyły **nazwisko znakomitego byłego posła do Dumy**, zamordowanego niedawno w Finlandyi.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Małe zwierzę, pokryte ostrymi kolcami. 3. To, co się przylepia na list. 4. Miasto na Śląsku pruskim. 5 Miejsce kąpielowe w Czechach. 6. ? 7. Miasto na Węgrzech. 8. Schowek na papiery i pieniądze. 9. Tytuł żałosnego poematu Kochanowskiego. 10. Drzewo. 11 Spółgłoska.

Rozwiązanie zagadek z Nru 35.

Szarady.

I. Pokarmy. — II. Kokarda,

Logogryf.

Solnogró**d**. **W**alent**y**, **I**rwin**g**. **Ę**—**a**, **T**apojo**s**. **Y**anke**s**i, **P**isty**ń**, **T**rypoli**s**, **A**ra**k**, **k**omedyanc**i**.

Święty ptak. — Dygasiński.

Zagadka głoskowa.

Pelargonia.

Zagadka.

Rze**s**zów, Za**t**or, Dą**b**r**o**wa, Roh**a**tyn, Zło**c**zów, Boc**h**nia, Uhr**y**nów, Ke**n**ty, Del**a**tyn, Gor**l**ice, Śni**a**tyn, Zło**c**zów, Bo**c**h**n**ia, Uhr**y**nów.

Strachy na lachy.

Kryptogryf.

k, b**at**, ga**z**da, Jul**i**usz, Grzy**m**ałów. Paździ**e**rnik, Monast**erz**y-ka, Kazimi**erz** Wielki, Ameryka **p**ołnocna, Brama**putr**a, Nil, Bolesła**w**it , Piwi**a**nia. lwo**w**ski, Wi**sł**a, **sk**i, **i**.

Kazimierz Puławski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Peczeniżyn. M. Cetera Dubiecko, M. Świtnikowa Rzeszów, E Bogdalska Koropuż, A. Jagodzki Bystrzyca, Al. Bocsoń Bobrka, K. Chodkiewicz Zbydniów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, A. St. Bassara Niwiska, T. Domain Sanok, St. Łaszkiewicz Dębica, H. Mokrzycka Drohobycz, A. Pukalski Andrychów, Dr. St Warmski Turka.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał przez losowanie p. A. Jagodzki w Bystrzycy. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.